









154  
ZBIÓR POWIEŚCI

J. J. KRASZEWSKIEGO

Tom 55.

WYDANIE NOWE

PRZEJRZANE I POPRAWIONE PRZEZ. AUTORA.

---

PODRÓŻ DO MIASTECZKA.

---

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta,

przy placu św. Ducha l. 10.

1874.

---

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrane, poprawione    uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty piąty.





M.N.K. X/172, -

# PODRÓŻ DO MIASTECZKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Z DODATKIEM KILKU POMNIEJSZYCH.)

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Aut. ra.

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha 1 10.

1874.

W A R S Z A W A

W księgarni Michała Glücksherga.



---

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.

W zbiorku tym, gdybyśmy autorskiej słabości słuchać chcieli, polecilibyśmy czytelnikowi — *Podróż do miasteczka*, która się nam zdaje najlepszą i zrodziła się w szczęśliwszej natchnienia godzinie. *Jan Dubeltowy* więcej się ludziom podobał, pisarzowi Janek wędrowny, w którym jest nie jeden stan ducha odmalowany, ale wiekuiste życia koleje...

Wspomnienie o Franc. Krasińskiej mogło by się przydać jej biografom, gdyby go po za powieścią i szkicami w kątek zasuniętego poszukać chcieli. U nas z materiałów korzystać będzie można, gdy ktoś ich klucz i spis a skazówkę sporządzi, której nam brakuje.

Zbiorek pochodzi z r. 1856.

Drezno 5. Stycznia 1874.



# Podróż do miasteczka.

(BAJKA.)





Stary majster Maciej wyprawiał Janka, jedynaka swego, z domu na naukę i robotę do miasteczka. Byłto człek doświadczony i rozumny, dobry mularz i dobra głowa, choć nie prócz rzemiosła swego nie umiał, ale świat znał i ludzi. Młody Janek był młody, — wszystko jest w tem jednym słowie; niecierpliwie słuchał przestrog ojca, miał czapkę którą w rękę trzymał, poprawiał na plecach tlomoczek, a pilno mu było w świat się puścić, który nań wesoło przez otwarte drzwi pooglądał. Mularz stary prawil powoli nauki z doświadczenia wyssaane: cóż kiedy szum nadziei nie dozwalał Jankowi usłyszeć i połowy przestrog starego. W uszach mu coś dzwoniło, śpiewało pieśnią przyszłości.

— Słuchajno, Janek, — mówił Maciej biorąc go za rękę, bo postrzegł roztargnienie chłopca, — na drogę nie wiele ci daje, tak jak nie — nie mamy się czem dzielić w domu, Maciek zrobił, Maciek zjadł.... nie uzbierało się grosza na starość, ale Bóg nigdy głodem nie morzył i śpię spokojnie o jutro... I ty masz ręce, masz głowę, a nie trzeba ci dużo, bylebyś doszedł do miasta, poteterminował trochę, chleb znajdziesz łatwo. Idąc Janku, zważaj mi dobrze, z daleka widać ot i ztąd

krzyż na wieży kościelnej, w niego utkwij oczy, i idź, i idź, a trafisz do miasta... Nie wiele się zatrzymuj dla spoczynku, oglądów, z nikim nie wdawaj się w rozmowy i znajomości. z drogi nie zbaczaj. czas drogi, przed wieczorem jednak przy twoich nogach można bezpiecznie być u celu. Chcę żebyś od Boga począł, to ci się poszczęści: nie wstępuj nigdzie. nie zaglądaj do karczmy, nie nocuj w gospodzie. ale wprost zdążaj do klasztoru... koło klasztoru muruje się kościół, tam najprzód przy majstrze Janie popracuj dla chwały Bożej. nie będzie to czas stracony. i nanczysz się czegoś i nie rozhultasz i pierwociny swe złożysz w ofierze Chrystusowi. Choć ojcowie nie płacą tylko pacierzem, a robotnicy u nich wszyscy dla miłości Bożej pracują, nakarmią przecie, przytulą, będziesz miał dach i będziesz między swojemi, bo wszyscy co dla Boga pracują. są braćmi i jedną wielką rodziną. Tak począwszy rzemiosło, dalej cię już Opatrzność poprowadzi, nie wątpię. A no nie zapominaj dwóch rzeczy: idąc patrz na krzyż, abyś się nie obłąkał i z drogi wielkiej nie schodził. a przyszedłszy do miasta, idź wprost do klasztoru nie zatrzymując się nigdzie..

Ojciec mówił, syn słuchał, ale nogi mu drżały, tak mu się chciało samemu, wolnemu jak ptak wybiedz w świat, w głowie mu się marzyły dziwy. bo choć widział miasto zdaleka, nie był w niem nigdy, i nigdzie jeszcze nie puszczono go tak swobodnie na własny rozum i wolą.

Nie zapaśno go ojciec wyprawił, ale było kilka groszy w węzelku, coś rzeczy w tłomoczku, rzemiosło umiał, o roboty było łatwo, siły i zdrowia Bóg nie poskąpił, nadziei i ufności w przyszłość pełne były kieszenie.



Stary uareszcie pocałował go w głowę, matka się rozplakała. bracia stryjeczni. siostry cioteczne przyszli, obstąpili go i powieszali mu się na szyi, na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc, a chłopak jeden co mu sięgał po ramię, chciwemi, blyszczącemi od zazdrości oczyma poglądał na szczęśliwego. szepecząc: — Weź mnie z sobą. Janek upadłszy do nóg ojca, uściskawszy matkę, która go długo nie puszczała z objęcia. pocałowawszy braci, kij w rękę uchwycił, i przestąpił próg domowy z bijącym sercem.

Na świecie było jak w raju! prześlicznie, słoneczno, wesoło — do koła kraj się roztaczał górzysty, pełen wiosek, zagród, pełen drzew i zieleni, przezeń biegły mrużące rzeczulki, ciemniały szumiące gaje, a kędyś na widnokręgu w sinej dali... ciemniała wieżyca kościelna, białaly mury miasta.

Zdawało się jakby nymyślnie na powitanie wędrowca wszystko wystroiło się, odświeżyło, nmailo i oblało wonią...

Odwrócił się — rodzice płacząc stali na progu, przed nim świat się uśmiechał. Skłonił się raz jeszcze siwym głowom ojca i matki, i poszedł.

Nigdy jeszcze nie biegł tak skoro, nigdy nie było mu tak lekko, dobrze i wesoło, szeroka droga wiodła jak zajrzeć aż do miasta, nią iść ojciec i ostrożność kazała; ale miasto widać było, któżby chciał niewolniczo wlec się pyłem i kolejami starego gościńca, kiedy tyle zielonych dróżynek, cieniem, wzgórzami, gajami. brzegami strumieni, ku temu samemu zdawały się prowadzić celowi?... Chatka już mu była z oczów zuiknęła, dym tylko z po za wzgórza z jej komina ku niebu się wznosił...

— Ojciec nadto o mnie bojaźliwy — rzekł do siebie Janek — czyż to ja do miasta nie trafię, choćbym i gościniec porzucił? A tu pali, pył... gorąco... i nudno iść tą w sznur wyciągniętą drogą.

Zwolnił krok, puszczając się boczną ścieżyną, bo musiał nad sobą pomyśleć i zaczynał robotę od budowania przyszłości; ale co krok odrywały go nowe obrazy. Wabił skład drzew zielonych, świeciły kryształowe wody stawów, bawily widoki wioski, chatki białych i ludzi.

— Nie ma się czego tak śpieszyć, rzekł do siebie. stanę jeszcze bardzo w porę... iść nie tak daleko, ojciec stary.. darmo się obawia, on troszeczkę gdera i bojaźliwy.

Ścieżką spuścił się z pagórka, przeszedł kładkę na ruczaju... Nad nim właśnie na kamieniu stało dziewczę chusty pralo... Piękne dziewczę, lat piętnaście, złote kosy do stóp, sine oczy jak niezabudki i różowe usta, gdyby otwarty kwiatek, a po nich lata jak ptaszek piosenka. Na niej koszulka jak śnieg biała i pas jak krew czerwony, ale kibić... objąłbyś ją pierścienkiem aż strach żeby się nie złamała... Podróżny ledwie ją zobaczył, przypomniał sobie zaraz, że nie zawadziłoby popytać o drogę...

— Dzieweczko, malinko, rzekł spierając się na poręczy kładki i pozerając ją oczyma... a którędy to do miasta?

— Do miasta? z figlarnym śmieszkiem odpowiedziała śliczna dziewczeczka... przed siebie, przed siebie, na prawo, potem w lewo, kręto w prawo, trochę wprost i traficie...

— A nie ma drogi błędnej?

— O są! i wiele! a czemużecie nie szli gościńcem, kiedy dróg nie wiecie?

— Bo mi tedy weselej i chłodniej... A daleko? zapytał usiłując przedłużyć rozmowę...

— A! mówią że daleko... alem ja tam nie była... matunia to chodzą co niedziela...

— Jakto? nie byłaś w mieście?

— Nie byłam i nie ciekawam, odpowiedziała dziewczyna powoli składając poprane husty. Ot nasza chata w pasiece... ot nasz ogródek jabłoni; ot mój strumyk z kwiatkami, ot studeńka gdzie krowy i kozy poję, ot półko i stożek... a na co miue miasto?

— Jak ci na imię dziewczko? rzekł przybliżając się chłopiec.

— Imię, a na co wam imię moje? zawołała śmiejąc się i patrząc mu w oczy, wolać mnie nie będziecie...

— Kto to wie?

— Nie znamy się! idźcie swoją drogą!

To rzekłszy dźwignęła chusty, ale czegoś jej udźwignąć je było ciężko. Janek grzecznie się znalazł i sam je pochwycił.

— Ot ja ci je zaniosę... rzekł ochotnie...

— A matunia? szepnęła dziewczyna. Nuż ją w chacie znajdziemy?

Ale nie, dodała po namyśle... poszła z kilką na grzyby...

Było to niby pozwolenie, Janek dwa razy sobie mówić nie dał i ciężar dźwignawszy cały, poszedł ścieżką po drodze...

Ale szli powoli.., powoli i patrzali sobie w oczy, uśmiechali się do siebie, szeptali, zdaje się nawet że się ścisnęli za ręce... a czas ubiegał, ubiegał... Naresz-

cie pokazał się płotek, wrotka, chatka, podwórko... dziewczę się obejrzało i westchnęło. Janek radby był iść z nią dalej... na progu kazala mu złożyć chusty i żywo poczęła je znosić do izby... Ale jedno drugiemu podawało, a co się naśmiali, co się nażartowali!! Ostatni już węzelek zaniósła dziewczyna i Janek miał próg za nią przestąpić, gdy nagle drzwi się żywo zatrzasły, śmieszek dal się słyszeć z sieni, a chłopiec osłupiały z podziwem pozostał przed progiem... Nie wiedział co począć z sobą, gdy maleńkie okienko odsunęło się trochę, piękna główka przez nie wyjrzała i głoszek figlarny zawołał:

— Późno wam będzie do miasta. bywajcie zdrowi!...

Dopiero sobie Janek droge przypomniał, westchnął u zamkniętej szybki, zawrócił się i poszedł ze zwieszoną głową.

A tuż i chmura niewiedzieć z kąd ukazała się na niebie, zagrzmiało. zaszumiało. i deszcz lać począł jak z wiadra... Janek pędził żeby się gdzie przychować i o drodze zapomniał...

Leciał, leciał w prawo, w lewo, zakrywając się połami, nareszcie dopadł stogu siana na łące i przysiadł pod nim deszcz przeczekać... Wiatr też prędko przeniósł burzę, deszczysko poszło dalej z piorunami, a chłopiec obmokły, trochę smutny, nie patrząc kierunku, w dal szą się puścił wędrówkę.

Ścieżka zupełnie mu z pod nóg znikła. znaleźć już jej nie umiał, przypomniał sobie, że wieżycą kościoła kierować się był powinien, ale jej z dolin w które zszedł nie było widać.

Chciał spojrzeć na słońce, chmury je zjadły, ani się domyśleć z której strony świeci... na los więc przy-

spieszył kroku, aby dalej, aby dalej.

— A! przekłeta dziewczyna! mówił w duchu, wszystko to cierpię z jej przyczyny, bodajbym jej nigdy nie spotkał!

Przyszedł rozum po niewczasie.

Jakoś z dolin powoli wydrapał się na wzgórza i dostał do lasu, a tuż i słońce z za obłoków wyskoczyło i świat się znówu rozśmiał w jego promieniach.

W lesie, patrzy, stary jakiś drwał łupie kłodę nieopodał na łuczywo... niepocieszna to jakaś figura, brak mu było jednego oka, które gdzieś zgubił po drodze, koszula na nim zasmolona, siermiężka jak przetak, a z pod zawisłej powieki jedyną źrenicą złem mu jakimś szyderstwem patrzała... Są takie jakieś niepo-  
czciwe czasem twarze na świecie, że w nich licho siedzi niepojęte, boisz się ich, a ciągną cię... dreszcz cię przejmuje na ich widok, a przykro ci je minąć, nie zbliżywszy się do tego straszidła.

Stary drwał właśnie miał coś takiego w djabelskiej swej twarzy. Jak tylko ujrzał młokosa z tłumoczkiem na plecach, z kijem w ręku, błędzącego po lesie, przestał ciupać, podniósł głowę, pokiwał nią i odezwał się spluwając:

— He! starszku szanowny... a dokąd to Pan Bóg prowadzi?

— Do miasteczka!

— Ho! ho! ho! do miasteczka, toście się dosyć zbili z drogi, myślałem że z niego idziecie.

— Jakto! doprawdy? rzekł niespokojnie, zatrzymujcie się Janek.

— W samej istocie, ale to nic, jeno się weźmiecie przez ten oto las i manowcem na lewo, a drożyną sa-

na do gościńca wyprowadzi... chłodem, cieniem i bardzo przyjemną okolicą, sześć karczem jedna po drugiej mijać będziecie.

Chłopiec zatrzymał się, drwał przystąpił do niego i jął mu się przypatrywać.

— A skądże to?

— Od tatka Macieja...

Drwał znowu głową pokręcił. — Rozumiem, pewno na zarobek do miasta...

— Na robotę, na naukę...

Drwał co raz się przybliżał i serdecznie i przymiłał.

— A toś się musiał zmęczyć chłopczyku kochany... aż mi cię żal.

Ot siądź spocząć na kłodzie, do miasteczka jeszcze pora! i jak pora... ja ci krótszą pokażę drogę, wyprowadzę cię tam, zobaczysz serce moje. Chłopak też rad, że go stary holnbi, nśmiechnął mu się po same serce, przyjął wezwanie i usiadł z nim razem na kłodzie starego dębn... Drwał się w niego uporczywie wpatrywał, jakby go chciał na wskrós przeszyć.

— Do miasteczka! hm! powtarzał — do miasteczka! to! to! i takiego młodego samego cię puścili?

— Ale bom ja stateczny, rzekł Janek z pewną dumą.

— Z pewnością, a taki to niezbyt oględnie... ot, żebyś gdzie i na złych ludzi natrafił, mogliby jak nie krzywdę ci zrobić jaką.

— Jakążby mi krzywdę zrobili?

— Mogliby cię obdrzeć nieboraku...

Janek ruszył ramionami i rzekł śmiejąc się przysłowiem:

— Goły się rozboju nie boi...

Drwał z ukosa spojrział na tłumoczek.

— Choć rodzice ubodzy, ależ taki jedynaka wyprawiając, musieli mu coś dać na drogę.

— Maluczko.

— Maluczko mówisz — proszę! aż mi cię żal, a to może nie masz nic... z czem począć, to bieda!

I począł bardzo emokać i dziwować się.

— A pokaż-że no mi — rzekł nagle, — co masz, może ja co na to poradzę... Janek począł najprzód wyliczać:

— Dwie koszule nowe, no! kurtka od święta, buty pierwszy raz przyszyte... a jakie cholewy! kamizola, aj jaka kamizola! jakie z boków kieszenie i guzy! no? Kielnia, lokieć. waga... a i książka od nabożeństwa... i różne drobnostki.

Gdy on to mówił a drwał kiwał niedowierzając głową, Janek zsunął z bark tłómaczek, rozpiął go, i nuż wyciągać, chwalić się, pokazywać.

Mało tam było. ubogó, ale i na to oko drwała niepocziwie się zaiskrzyło. począł emokać i dziwnie się wpatrywać.

— Piękne masz rzeczy! weale piękne masz rzeczy! — rzekł ochrypłym głosem, jakby go w gardle paliło.

Chłopiec już chciał wdziać tłómaczek na ramiona, gdy drwał przytrzymał go uśmiechając się za rękę.

— Jakieżś niedoświadczony, — rzekł zaczynając śmiać się coraz głośniejsze, — na cóż to darmo dźwigać siedząc, to cię ramiona zabolą; włożysz gdy iść będziesz, odpocznij, zobaczysz że ci tak lżej będzie.

Janekowi rada dosyć przypadła do smaku, siadł odsunawszy tłómaczek. a drwał go wciąż wypytywał.

Burza przeszła... słońce znowu świeciło i paliło, a choć w cień pod drzewem. dogrzewał upał letni... Drwał po spalonych wargach przesunął suchym językiem.

— Nie chce ci się pić? — spytał.

— O! i jak!

— Czekajże! napijże się na drogę, to cię orzeźwi... ot tu... o pięć kroków jest źródelko. a przy niem po<sup>o</sup>bożna dusza zawiesiła czerpak drewniany... ot. ot! tam za tym debem... nie widzisz?

— Coś tam widzę... jakby kłodę.

— To zrób... idź. idź! ruszaj się, bo czas w drogę.

Tłomoczka brać nie chciał Janek. spojrzal nań przecie jakoś niespokojnie.

— O! jakiś ty głupi, — rzekł śmiejąc się stary drwal, — czego się boisz? idź! idź! taż ja ci popilnuję.

Janek poszedł zawstydzivszy się zlej myśli.

Szuka krynicy, szuka. doły są, ale wody w nich nie ma, w jednym błoto, w drugim kałuża pokryta pleśnią zieloną... ani studni, ani czerpaka. Długo się kręcił, zaszedł daleko, nareszcie biegiem powrócił do kłody, ale drwała ani znaku.

Dopiero obejrzawszy się wokoło, poznał że źle zrobił nie słuchając ojca, nie idąc traktem, wdając się w rozmowy niepotrzebne i znajomości podejrzane... Spuścił głowę, łza mu się zakłęciła w oku, nietyle po kielni i wadze, co po kamizoli sinej z żółtymi guzami... ale dzień upływał, złodziej licha wie gdzie uciekł, Janek wskazaną drożyną szybko się puścił ku miasteczku...

Jakoś choć z sercem uciśnionem, ale z parą groszy pozostałych w kieszeniach i kromką chleba, więc nie całkiem goly, przebił się przez las, na wzgórze, patrzy... gwałt! miasto... jakby uciekło, ledwie widać, tak daleko! Ale krzyż kościoła błyszczy w zachodnim blasku na chmurze wieczornej... Nie pytając już drogi, popędził biedaczysko, ale bez tłumoka ciężiej mu było niż z nim!



Szedł bez ścieżki i bez drożyny gdzie oczy niesły, a coraz się ściemniało, a tu rowy, a tu płoty, a tu wzgórza, doliny, krzaki i grzezawice co chwila wstrzymywały, a czas nbiegał, a noc się zbliżała. Zadyszany, zgryziony, przeklinając dołę swoje i powoli na barki losn składając głupstwa, które sam porobił, Janek jakos się dobil do gościńca i poczał już bezpieczniej przybliżyć do miasta, pewien że w niem choć nocą stanie.

Teraz sama mn się droga wskazywała... pełno na niej ludu wracającego z targowicy, pełno pieszych i wozów, a gwaru, a wesela, a bitwy, a kłótni... Szcęściem nie było czasu przysłuchiwać się i przypatrywać temu wszystkiemu... A że w ogóle ludzi wesółych było więcej niż treźwych, ich dobra myśl w serce się Janka przelala, i poczał dodając fantazji klamać przed sobą.

— Po co mi dwie koszul było? a tak mi ciężyl ten paskudny tłomoczek! mam jedną na plecach to dosyć! jak się zbrucze przepiore ją, kąpiąc się w sobotę w strumieniu... Kamizola! no kamizola nie była brzydka i pokażna, oj tej to mi żal; ale to na wieś dobre nie do miasta, zarobie. to se frak sprawie stary... kielnia była zupełnie nic potem, wygięta, wyszmulana jak bla-zka... waga to głupstwo... lada kamień i sznurek to i waga... kurtka z ojcowskiej była przerobioną i na jednym łokeiu łataną... nie do koloru. Tylko mi książki maturskiej żal... o! żal; ale taka była stara!

Westchnął za nią. ale gwar go zadurzył i o stracie zapomniął.

Już też choć dobrym zmrokiem, a zbliżył się do bram miasta.

W bramie stali celnicy, ale koło chłopaka nie było czego patrzeć, śmiejąc się pomacali go po kieszeniach

i coś groszaków z nich wyjęli, potem zaczęli zeń drzwi, że idzie z próżnemi rękoma i niby go puścić nie chcieli. nareszcie gdy się zafrasował, odbiegli do innego, a on wszedł w ulicę.

Aż tu, jak wnijdzie w ulicę, wtem hałas, tartas, szum, huk, między przechodzących i przejeżdżających, biedny Janek głowę stracił, głowę otworzył i stanął. Chciał przed wszystkimi czapkę zdejmować... ani sposobu tyle ich tam było... i zhardział, tylko ją na barkier posażliwszy dalej.

Ten i ów go popchnął, popchnął i on także... ale co krok to staje... gapi się. Kilku chłopaków otoczyli go i nuż zeń przedrwiwać.

Dopiero Janek opatrzył się że żartują gdy go błotem orzucali... Wieżę kościoła widać daleko, ale na nią nie patrzy i idzie dalej coraz śmielej.

Na rogu ulicy trafiła się szajne katarynka, a na niej małpa w czerwonym kaftaniku... Janek w ręce płaśniał... kolo widzów okrażało żydka, który to cudo pokazywał, a gdy instrument zagrał kozaka, gdy małpa zeskoczywszy ze skrzynki krygi, skoki i miny poczęła... nie było się sposobu oderwać. Reprezentacja trwała dosyć długo, żyd grał a małpa tańcowała, ludzie się śmieli i wszystko było dobrze, aż nareszcie i żyd i małpa się zmęczyła, szajne katarynka wydała jęk przeciągły... ten i ów przewidując nieprzyjemną apostrofę, poczynął się wynosić, żeby się od składki wywinąć. udając przechodzącego tylko. Kilku bliższych rzucili po groszaku. Janek jak wkuty pozostał, małpa bowiem język mu pokazała przekrzywiając głowę, i to go niesłychanie bawiło... Stoi, stoi, jedną razą żydek się obejrzał pozbierawszy grosze i wprost skoczył na niego.

- Nu! a patrzal wać?
- Albo to oczów nie mam? — ofuknął Janek.
- A słuchał wać?
- Albo to ja nie mam uszów? — oburzył się chłopiec.
- Nu! to zapłać! to zapłać!
- Jakto zapłać! co to zapłać!
- Nu! on tego nie rozumie.
- A tyłuż tu było co nie płacili.
- Ty za nich i za siebie zapłacisz! — krzyknął żyd w złości.

Janek się obruszył, żyd go za kołnierz i począł krzyczeć coraz głoźniej:

— Gwałt! złodziej! gwałt! złodziej! A tymczasem nuż go okładać pięściami; małpa widząc to siadła mu na kark, gorliwie naśladowując swojego nauczyciela... poczęli go grzmocić we dwoje; Janek narobił wrzasku, ale głos jego tłumilo wołanie żydowskie: złodziej! złodziej!

Nadbiegł po chwili ront, a widząc że żyd wrzeszczy, że się Janek wyrывa, chwycił jegomości pod boki i nie opatrzył się chłopak, jak go do ciemnej ciupy wsadzili.

Nie mógł w początku zrozumieć co to się takiego stało. oglądał się, wzdychał, plakał, aż postrzegł starego wąsacza, który paląc siedział na ławie i patrzył nań z dobrodusznym uśmiechem. Wzrok tego starego, jego fajka, tak Jankowi nieszczęsnemu drwała przypomniały, że mu dreszcz poszedł po skórze... Ale ośmielił się raz i drugi spojrzeć, i z pod wąsów sumiastych dostrzegł dobywającego się uśmiechu... wszakże tyle już miał znajomości świata i smutnie nabytego doświadczenia, że jeszcze nie dowierzał wąsom i fajce.

Stary inwalid dobrodusznie nań wejrzawszy, począł rozpytywać lagodnie:

— Za co to tu ciebie przyprowadzili? Coś ty zrobił?

Janek się rozplakał, nie chciał już nic mówić, ale w końcu od A. do Z. wypowiadał mu się z całego dnia. Inwalid począł głową kiwać i cmokać, co znowu przypominając drwala, przestraszyło młokosa... nie nie powiedział, fajkę wydmuchnął i wyszedł drzwi zatrzasnąwszy.

W kwadrans wszedł ze starym wąsaczem jakiś poważny mężczyzna w okularach... obejrzał Janka, obmacał, usta wydał, oczy zmrużył, płunął i wypchnął go, w kark mu własną dając ręką, na ulicę.

Janek jeszcze z osłupienia, w które go to dziwne z nim postępowanie wprawilo, nie wyszedł, gdy znowu się ujrzał we wrzasku i gwarze ulicznym. Chciał już wprost iść do kościoła, ale wieży jego za łzami dostrzedz nie mógł.

Ha, pomyślał sobie, pójdę dalej to trafię. I znów posunął się powoli ku środkowi miasta. Ledwie uszedł dziesięć kroków, wielkie światło uderzyło go w oczy, budynek jakiś ogromny stał na drodze, ale oświecony jakby kawałek dnia na noc sobie schowali, dwóch jakichś ichmościów stali na koniach i drzwi pilnowali — w podwórzu pełno było osobliwszych powozów, a co ludzi! co ludu! Janek musiał stanąć żeby się choć trochę przypatrzeć. Niepodobna się było nie zagapić, bo takiego widoku w życiu jeszcze nie spotkał. Najprzód ci ludzie, których widział wchodzących, wychodzących, wsiadających i wysiadających z powozów, te panie i dzieci nawet i ci co im usługiwali, i ci co ich wieźli, byli to całkiem inne stworzenia, niż te co pod imieniem ludzi nawykł był Janek widzieć na wsi. Co za suknia, pełno złota i purpury! Co za twarze, rzekłbyś

malowane, tak świeżuchne, a konie jak lalki... a psy nawet, takie zgrabne i elegenty, wszyscy czupurni, wytworni uśmiechnięci, weseli, serdeczni i dziwnie piękni. Nawet głosy z ich ust wychodzące miękkie były, słodkie, jak jedwab z ust się ciągnęły pasemkami błyszczącymi, a Janek słuchał tylko ich muzyki, bo zrozumieć nie mógł, język to był tego świata, inny wcale od naszego. Janek znowu głowę stracił, ani sposobu pójść dalej.

— Niech no to się przesunie, to i pójde — mówił do siebie — ale tłum jeszcze się powiększał co chwila, a tak wesoło było patrzeć na tych ludzi prześlicznych, wesołych, uśmiechniętych, grzecznych, dobrych i pocziwych. Jankowi raz się zdało, że jedna z tych pań miała łze na oku, ale to był brylant co świecił przy jej twarzy; zdawało mu się znów, że ujrzał gniew w brwi jakiegoś jegomości, ale to był cień od pukła włosów co marsa udawał. Zresztą wszyscy oni mieli, jak się okazało, dwie podobno miny i dwa głosy — między sobą byli jak anioły, ale dla sług i tłumu przybierali inną postać, mowę i wejrzenie. Sam tego Janek doświadczył, bo z uśmiechów i twarzy wnosząc o sercach, wyciągnął rękę choć ze wstydem i chciał opowiadając swoje historję prosić o wspomnienie jakiejś ślicznej kobieciny w łokach blond z oczyma jak niebo modremini... ale ta ofuknęła go groźnie... Ktoś w tej chwili popchnął, trzeci poprawił i Janek na kułakach wysadzony znalazł się za owym czarodziejskiem kołem światła i wesela, wśród ciemności i pustyni.

Jak sen przeszło widzenie, znowu iść musiał dalej.

Ktoby pomyślał, że Janek widząc noc nadchodzącą, nabrał rozumu i spieszył za radą ojca do klasztoru,

może i miał ochotę to uczynić, ale w tym gwarze zdurzył się i wmawiał w siebie, że kiedy tylu ludzi nie spi, noc być jeszcze nie może, tylko się tak sobie ściemniło. Idzie więc znowu ulicą, ale wzdychając za owym światem, którego ujrzał był trochę, a z którego tak rychło go wygnano.

Idzie, idzie, idzie, idzie, co krok enda... Tam w powietrzu pali się lampa, niewiedzieć jaką zawieszona sztnką; stanął opatrzyć jak to tam wisi, zaczął się znowu, koń go potracił, zabołało, ustąpił... Tam znowu ujrzał przy jasnych jakichś białych, świecących kulach, jakby księżycy w pełni wyglądających, a nie do lojowych świec niepodobnych... dziwny sklep jakiś, w sklepie enda! Janek się do drzwi zbliżył i stanął jak wryty. Liczy w głowie ile to wszystko kosztować może, choć ceny tych rzeczy nie wie, zaczyna marzyć coby sobie kupił gdyby miał pieniądze. Widząc tam jakieś cacka, pasy, wstęgi, materje. szkielka, złote sprzęty, dziwne narzędzia, królewskie suknie... a Janek zaczyna rozumować jak to być może, żeby ojciec jego i matka i on i cała wioska żyli tak długo i obchodzili się bez tego wszystkiego? Do czego służyć mogą rzeczy. bez których połowa świata żyje i za niemi nie teskni? Na rozwiązanie tego głębokiego zadania Jankowi brakło zasady. a szukając jej tak się zamyślił, że ani spostrzegł jak kupeczyk wylewający szklanke brudnej wody, w twarz mu nią chlusnął i na suknie. Krzyknął i co tchu uciekał od tego djabelskiego sklepu.

Tyle go już przykrych wypadków spotkało, że począł płakać nad sobą serdecznie, siadł na kamieniu i szłocha, a ludzie idą i idą.

— Gdyby to tak u nas — pomyślał — o mój Boże!

takiby się ktoś zapytał czego ja płaczę, i nakarmił i pocieszył.

Wtem głos się dał słyszeć :

— Czego dudku siedzisz na drodze i płaczesz?... poszedłbyś gdzie w kąt.

W strachu, nie oglądając się, Janek chciał już uciekać. gdy go za rękę schwytano, stał przed nim z łaską wielki, gruby jak wół mężczyzna, i dłubiąc w zębach patrzył mu w oczy.

— No! gadajno! — nalegał.

Janek łyżę połykał, ale po chwili gdy mu się język ustatkował i myśli pozbierał do kupy, nuż prawie całą historją tego dnia nieszczęsnego. Stary śmiał się w głos, brał za boki. słuchał, rozpytywał i zachodził ze śmiechu.

— A to przedziwne — wołał — a to wysmieniecie, nieoszacowany!

Nie mógł Janek zrozumieć co w tem wszystkiem było przedziwnego i wysmienitego, ale nie miał grubemu za złe jego wesołości, bo po skończonej historji dobył z kieszeni złotówkę, dał mu ją i świszcząc poszedł w swoją drogę.

Pierwszy to raz coś go spotkało dobrego, pierwszy raz. choć polajawszy i naśmiewszy się, ktoś się przecie nad nim uzalił; Janek jako rażne chłopię nabral serca i dalejże poświstując sobie, wzięwszy się za boki.

Kościół nie widać, ale o trzy kroki stoi w progu drzwi otwartych dziewczyna, taka bestyja ładna, że od niej nie oderwać oczów... wcale ani trochę nie podobna do tej, co to zrana zatrzymała go przy strumieniu, gdzie! sto tysięcy razy piękniejsza! liczko gdyby alabaster, policzki jak róże kwitujące, oczy jak u cyganki czarne, a uśmiech... choć za nią w piekło! A jak ubra-

na! suknia czerwona, pas złoty!.. we włosach świecą się kamyki gdyby krople na kwiatku... Janek aż czapkę zdjął przed nią, popatrzał, westchnął, chciał iść dalej, ale się ona rozśmiała i wstrzymała go słowem:

— Dobry wieczór ładny chłopaku!

— Co to jest i zna mnie widzę?! — rzekł sobie Janek i począł zbliżywszy się przypatrywać jej, zdaje się jakby ją już gdzieś widział we śnie czy na jawie, ale przypomnieć nie umie: a ta mu ząbki wyszczerza, że dałbyś się zjeść niemi. — Chłopak szuka słowa na odpowiedź, a co mu przyjdzie na koniec języka, to się zawstydzi i polknie.

— Dobry wieczór — powtórzyła dziewczyna. — Czegoś ty płakał? Co to ci ten pan dawał? — zapytała nśmiejając się znowu, przez białe ząbki cedząc uśmiech jak przez sitko.

Janek wciąż chciał a nie mógł odpowiedzieć; dziewczę piosenkę zanuciło, a główką kiwało i nóżką tupać, chciał iść dalej, ale czuł jakby go na sznurku trzymała.

Czarownica dziewczyna! Zdaje się stoi umyślnie, żeby kusić nieboraka, to nóżki koniec wysunie. to rączkę aż po łokieć pokaże z szerokiego rekawa, to szyjkę wyciągnie, to westchnie żeby pierś rozkołysać... Szatan nie niewiasta! Oparła się o drzwi od niechcenia, śpiewa, i jaką piosenkę!

Chłopcze jabłuszko — chłopcze kochanie...

Czego lzy w oczach ci stoją?

Uśmiech to dla ust twoich ubranie.

Nie płacz... twoją... będę twoją!!!

Wyraźnie jakby do niego! Janek już tylko myśli jakby to tu się zbliżyć, i ani się spostrzegł jak dotknął jej ręki, jak go dłoń jej palić zaczęła, jak się przy-



sunął do drzwi. jak przychylił ku ustom... uczuł oddech różany, atmosferę szalu... utonął w czarnych oczach, słuch, przytomność, pamięć stracił i sobą być przestał, a stał się nią tylko...

Wtem stara sekutnica, baba czy djabeł, jak wypadnie z korytarza, jak go tuie miotłą po głowie, dziewczyna krzyknęła i znikła, marzenie przysło, siniec i ból pozostał... drzwi się przed nosem jego zatrzęsły... a w ostatku... co gorsza, gdzieś mu złotówki z kieszeni nie stało.

— A! pomyślał Janek — kiedy tak, znamże ja was teraz, pójdę już prosto do klasztoru do kuma Jana, byłem tylko znalazł drogę... ale gdzie droga?

W cztery strony świata, cztery idą ulice, cztery wiatry świszczą. cztery widać kościoły, cztery światy... znajdźże tu drogę kiedyś mądry... Janek się w głowę poskrobał.

— Ot tobie podróżować po nocy.

Szedł ulicą żebrak stary z lirą, zgarbiony, o kiju, broda po pas, torby po kolana, łeb lisy jak dynia, ale oko zmrużone powiedziałbyś jak u tego drwala; dreszcz przejął chłopca, przecież jak miał pana pytać, wołał swojego ubogiego, i zbliżywszy się grzecznie rzecze:

— Mój ojcie, kędy to droga do kościoła, co to go murują?

A ot, prosto — rzekł stary i poszedł.

Janek już ruszał, wtem nadszedł ktoś młody, śpiewający coś pod nosem; dosłyszał widać pytania i odpowiedzi, bo się odezwał:

— Stary bajdurzy, zwyczajnie stary... co ma w głowie! ruszaj w lewo...

Janek się zaciął, nadszedł trzeci.

— Kpią z ciebie, idź w prawo, mój kochały.

Przystąpił czwarty i rzekł:

— Czy nie widzisz, że już kościół minąłeś?

Ani sposobu trafić. — Janek ręce zalał i począłby był kłąć, gdyby nie plakał; aż piąty przystąpił, poważny, w peruce z koziej wełny, z laską ogromną, w okularach potrójnych a taki prosty i twardy jakby go z drzewa wyciosał, wziął Janka za rękę.

— Synku — rzekł — widzę drogi pytasz, a to nie-pocziwe ludziska durzą cię i naśmiewają się z ciebie; co za serca uielitościwe! co za głowy puste! Powiedzno gdzie iść chcesz, ja ci drogę rozpowiem. Najprzód czym źle dosłyszał? pytałeś do kościoła; po co do kościoła?

— Na robotę...

— Ot to znalazł zarobek! Budują teatr, idź do teatru... budują bursę, idź do bursy... tam ci dobrze zapłacą... a u Bernardynów ledwie łyżkę strawy i krzyżyk na drogę.

— Kiedy mi tam tatko przykazali.

— Co tam tatko! albo to ty nie masz swojego rozumu?

A popatrzysz na chłopca, który czapkę w rękę obracał, poczał się śmiać z politowaniem.

— A no, no! chcesz do kościoła — dodał prędko — bardzo dobrze, ruszajże, tak... w prawo, potem w lewo, w tył, naprzód, od siebie, za siebie, zawsze przed siebie... i trafisz niezawodnie.

Janek zagawronił się, chcąc zrozumieć co mu mówiono, a jegomość w pluderkach znikł z oczów; znówu tedy stoi i medytuje, a w głowie mu się przewraca.

Po chwili jednakże poszedł wprost, jak mu stary

dziad wskazał, ale powoli się wlokąc, znużony, osowiały, niewiedząc co robić... nie myśląc co pocznie... tak się przywłókł do rynku.

Na rynku dopiero pokusy! Cały dzień nie miał w gębie, a tu stosami: smażone kielbasy, kartofle gorące, bułki, jabłka, śliwki, grzanki, czego dusza zapragnie. Przez nos wlatują zapachy do żołądka, głód odzywa się do brzucha, brzuch do kieszeni przemawia, a w kieszeni jak wymiółł, ani groszaka.

Janek myśli sobie: choć popatrzę... co to szkodzi i choć zawącham, toż nie grzech. Przy straganie na laweczce siedziała opasła kobiecina, jak kufa na którejby harbuz przykryty czepkiem położył... robiła pończochy i mruczała pacierze. była czerwona i opasła, jak gdyby dzień cały jadła... gdy się Janek począł zbliżać uśmiechnęła się, a ten się jej uklonił:

— A noć proszę do mnie, rzekła, proszę, chodź ino chłopaku. Janek bliżej przystąpił... kielbasy, bułki, jabłka, skarby! ani oczów. ani nosa od nich nie oderwać, proszą się do gęby! Uśmiecha się chłopiec, i taki się zrobił grzeczny. że drugi raz się uklonił; a przekupka do niego:

— A no! nie ceremonijuje się jak suczka na przewozie; a chcesz czego, to bierz...

— Mogę? zapytał Janek zdziwiony.

— Po kiegożby to djabła stało? zawolala baba; ot to fryc, gdzieś ze wsi!

Janek począł mędrować, żeby się przekonać jakby to być mogło, żeby tu darmo jeść dawali i z pomocą żołądka, który argumentów dostarczał, jak jał rozumować, tak doszedł, że wielkie, otyłe kobiety, nie mogąc już jeść same, straciwszy apetyt, siadają na rynkach

dla karmienia drugih i napawania się cudzą rozkoszą choć oczyma. Żołądek się przysięgał, że tak być musiało, rozum nie zaprzeczał, zostawiając to na potem. Dosyć więc dyskretnie wziął Janek kielbasę i schował do żołądka, wziął bułkę i posłał ją w pogoń za nią, zgryzł parę jablek... poczem zdjawszy czapkę z uśmiechem, zabierał się już odchodzić, gdy baba jak była gruba, tak krzyknawszy ogromnie na całe miasto, zerwała się jak piórko i schwyciła go za czuprynę...

— Stój lajdaku! a cóż to, płacić nie myślisz?

To słowo mrozem Janka przejęło i rozum tu się odezwał.

— A co? było mnie słuchać, nie tego głupiego żołądka.

Zapłacić! czem tu było zapłacić?

— Nie mam grosza, wyrzekł drżący... ale jejmość mnie zapraszałaś przecie?

— A jeść to umiesz! a płacić to nie chcesz! nie masz grosza, to zdychaj z głodu, a cudzego nie rusz, psi synu!

Były tam i inne piękne słowa, których Janek nie zrozumiał, ale za to kulaki mówiły do jego pojęcia jasno i dobitnie; trzy baby tłuste, jedna chuda, obracały go na wszystkie strony, tak że nie było sposobu się wywinąć, zdarły z niego świtkę i dopiero puściły w koszu. Nieborak uciekł co tchu, paląc się ze wstydu.

— Nie! rzekł do siebie z gniewem, nigdy rozumu mieć nie będę, ojcam nie słuchał, dobrze mi tak!

Wtem jakieś skrzypki zagrały i zadzwonił bębenek, ale to nie bębenek i skrzypki; patrzy Janek przez drzwi otwarte, izba ogromna, do koła flasze: żółte, czerwone, białe, tłuste i chude, jedne z szyją jak żurawia, drugie

brzuchate jak wieprze; gąsiorzy, tylko im czubki i pasy ponakładać, podobniusięńkie do starego wójta; bańki przypominające starą Lejbowę, kieliszki, kwarty... a!! Czego tam nie było, w pośrodku taniec zawzięty...

Tańcowali, ale jak! rzekłbyś że ich djabeł opętał, tak się uosili po karczmisku, z końca w koniec wiatrem gnali, dziewczęta leżąc na barkach chłopców, chłopcy z niemi usta w usta, ręka w rękę... hu ha! hu ha!

— A! daj go katu! — zawolał Janek, to nie tak jak u nas w karczmie u Lejbowej — dziewczęta inne, i muzyka i taniec nie taki. Wszedł tylko na próg i spał się na palce, ktoś go popchnął i znalazł się we środku...

Wtem zbliża się do niego niczego jegomość, w koszuli i kamizoli, w czapce na ucho, wąs do góry, nos jakby go karmazynem wyszywał, pyski mu się śmieją a oczy błyszczą, i ni z tego ni z owego cmok w zęby Jauka...

— Co u licha! czy kum, czy znajomy?

A ten go plusk z drugiej strony.

Janek do czapki, bo był grzeczny z natury...

Ten mu w rękę tka kieliszek nalany i pachnący jak kadzidło, a świeci się w uim trunek jak kamień u pierścienia.

Przypomniął chłopak radę ojca, żeby trunku unikał, ale jak tu wszedłszy wysunąć się z karczmy?

— Rybko, kochanie, pij... jak mi co dobrego życzysz, jak ci miły stary Grzegorz Łada... sto lat nam żyć i pic, a żonkę i dzieci niech djabeł biorą!! ha ha!

— Ale panie Grzegorzu!

— Co tam panie Grzegorzu! pij cymbale! tupnął nogą hulaka, albo nie... Janek się jeszcze zżymał i

chciał wymawiać, a ten go pięścią w bok.

— Pij młokosie, bo ci łeb rozwałę!

— Gwałt! pomyślał Janek, nie ma rady; trunek więc pochwycił i jednym toastem wychylił. Grzegorz go pocałował, poślinił i poszedł.

Szatan musiał tam coś napuścić do tego trunku, Janek od niego jakby ożył, przeciera oczy... co to takiego? świat inny, niby dzień, niby niedziela czy święto, czegoś wesoło aż się chce śpiewać, gdyby inne serce w piersi mu wsadził, istotnie rażno! Co sobie przypomniał goliznę, sińce, przypadki swoje — to powtarza:

— Pal djabli, jakos to będzie!

Dziewczeta się śmieją i żartują, karczma nawet tańcuje, belki na pulapie jakby je febra trzęsła, ilarzki skaczą na ulicy, kieliszki na stole, a ludzie nie ma co już i mówić. Janek sobie śpiewać począł i tupać, wziął się w boki, wyzwał by teraz na pojedynek półtory kopy przekupek i pół miasta w dodatku; węża kręci choć go nie ma, brzeka niby pieniędzmi w kieszeni, choć ani groszaka mu nie zostało — inny człowiek!

— Ho, ho! rzekł, nie głupi tatko, że mi wódki zakazywał, a toć w kieliszku taka siedzi siła, że może bym go nie słuchał i swój miał rozum, gdybym był trunku skosztował... Tylko go w siebie wlać, wszystko jest: i rezon, i siła, i ochota, i wesołość... a że łeb trochę boli, to dawniejsze sprawy... Wtem dziewczka go wzięła w tany; jak poszedł, jak wywinął, aż się gdzieś oboje oparli o drugą ścianę i mało szynku nie wywrócili... Huk! hałas! dziewczyna upadła; brat i narzeczony do Janka z pięściami...

— Co to ty tu przyszedł robić brewerję, ty holo-drygo jakiś, co ci się koszula dziurami świeci?!

Janek w garść pluwał i gotów do boju, a ci jak go poczęli grzmocić... ciepło się czegoś zrobiło na twarzy, kiedy się otrze aż tu krew... a tu go wzięwszy pod boki, wiodą do drzwi i za drzwi, i jak go pchnęli w ulicę aż nosem zarył nieborak.

Wstał jednak, otrząsł się i chciał powrócić do szynku, żeby wybić ich wszystkich jak pszczoły, ale gdzieś licho wzięło i drzwi, i dom, i światło. ciemniuteńko jak w garnku i cicho jak na cmentarzu.

Odarty, potłuczony, skrwawiony, Janek nierychło oprzytomniał i przyszedł do siebie, jeszcze licho nadało niewiedzieć z kąd coś mu się takiego stało, jakby w nim jednym znalazło się dwóch ludzi — czy się kto zakradł?

Obejrzał się, obmacał. jednym jeden a we środku wyraźnie gada mu dwóch, jakby na komedji i tak się z sobą kłóca, że rady im nie dać. I jeden Janek i drugi Janek, a tak do siebie niepodobni jak ranek do wieczora.

— Słuchaj trutniu, mówi pierwszy, dobrze tobie tak, a byłoci ojca słuchać od początku, iść gościńcem prosto, nie zatrzymywać się, nie bałamucić, i wszedłszy do miasta, uszy zatknąć i wprost do fabryki!

— Jaki ty mądry! odpowiada drugi Janek, co to ja temu winien? toż los, to trafunek, to dola.

— Alboś to nie szukał guza? toś go znalazł!

— Co płaciesz! Ja przecież nie mogłem iść w skwar gościńcem...

— A dziewczyna?...

— Sama mnie zaczepiła...

— Nieprawda, tyś się przyczepił do niej; a drwał? nie głupi ty byłeś?

— On był zły, jam nie głupi...

— A karczma? a przekupki?...

— To oni winni nie ja, w oczy skaczą!...

Drugi Janek począł się śmiać szydersko, kłótnia między nimi się wszczęła na nowo, i jakoś przecie po tej sprawie z dwóch skleił się jeden jak wprzód.

Miasto ciche było jak wymarłe, kilka lamp gasło kołysząc się jak w powietrzu. na niebie gwiazdzistym świeciły niewygasłe lampy Boże. a na lazurze ciemnym z prawej strony ujrzał Janek wieżę i krzyż niedokończonego kościoła.

Oprzytomniawszy podziękował Bogu. że mu wskazał drogę i poszedł..

Teraz, myśli sobie, trafię pewnie choć zapóźno trochę... byle brama nie była zamknięta.

Idzie. idzie, z ulicy w ulicę, coraz puszczaj, coraz ciszej, a wieża przed nim rośnie, a dojść do niej nie można, to w prawo. to w lewo. nie dobić się do niej za murami, zwyczajnie po nocy, wzdycha i idzie znużony.

Już mu i sił braknąć zaczyna.

Nareszcie plac się wielki roztoczył przed nim. opasany murem dokoła, w pośrodku stały podniesione prawie do dachu mury, a wieżyca sięgała już w obłoki i złoty krzyż na niej zatknięty błyszczał w ciemności jakimś światłem, które nie z ziemi. ale z niego samego bić się zdawało.

Cisza była uroczysta... przyszedł do bramy, wielkie wrota dębowe stały zaparte ze środka, ale przy nich na koziej łapce wisiał sznurek od dzwonka...

Janek senny, znużony, zbolący. bo mu wszystkie teraz rany dojmować zaczynały. dziękując Bogu — zadzwonił.

Szeroko rozległ się głos małego dzwonka. płaczli-



wy, jakby wzywający ratunku: ale nierychło ktoś się zbudził za wrotami, odsunął okienko i zapytał go ze środka:

— Kto tam taki?

— To ja!

— Któż taki?

— Janek mularczak, syn majstra Macieja... tatko mnie do was przysyła, do kuma Jana. abym z nim pracował na chwałę Bożą i chleb powszedni.

— Tak późno? Maciej mieszka w blizkiej wiosce.

— A! późno wyszedłem z domu, a tylem cierpiał po drodze... puście mnie, puście dla miłości Bożej, krew leje się ze mnie, głowa pęka, łzy płyną... puście dla miłości Boga, bo umrę na progu!

Powoli furta się otworzyła i staruszek z siwą brodą, z latarką, w sukni zakonnej braciszka, wychylił czoło, zdumione i spojrzał na młodego chłopca.

— O mój wielki Boże! zawołał, co ci to jest? cały we krwi, cały w błocie, o tej porze!

I ujął go w ręce silnie, a Janek ledwie na nich spoczął, przytomność i czucie utracił... omdlał na gościnnym progu...

Mnich westchnął, spojrz nań — o dziwo! przed chwilą młody — Janek miał już włosy siwe, broda mu po pas wyrosła, sześćdziesiąt lat leżało na pooranem czole...

Starym przyszedł do pracy i modlitwy i upadł na progu!

A któż z nas nie był tym Jankiem??

Słuchajcie tatka Macieja!



# **Pieśń życia.**

**(FRAGMENT.)**





„Pieśni życia, wielka pieśni. po raz setny, niech cię rozpocznie człowiek: pieśni niewyśpiewana, nieskończona nigdy pieśni. zawsze jedną grobową kończąca się zwrotką, a zawsze nowa i ponętna...

„W krainie ducha, wszystko jest pieśnią życia, jak na ziemi, od pyłku do dębu wszystko jest żywotem. W pyłku śpi może świata zarodek, w dębie szumi myśl zielona, i w słowach życia pieśni co dźwięczą urwane, snują się myśli wielkie, niemowlęcym hałkocząc językiem....

„Życie, życie, życie! po trzykroć wołam cię, zaklinam, wywołuję bym zrozumiał; chciałbym czarnoksiężką różczką zmusić cię byś stało przedemną, przyoblekło ciało, i odpowiedziało mi samo, czem ty jesteś? Ja cię rozumiem i nie pojmuję cię jeszcze, chwytam i pojąć nie mogę. Spojrzę w niebo, zda mi się, że schwytał słowo wielkiej zagadki, obejrze się na ziemię i błąkam znów. Toż to jest życie? do czego?

„Chciałbym zaśpiewać wam wielką wiekniatego życia pieśń, a usta zawiera zdumienie, cierpienie, bezsilność i boleść; boleje ale nie nad sobą. Usta mi zamyka szal ludzi, nędza ludzka i wszystkie życia sprzeczności, które

ściąga myśl na sznur tego różańca, nie mogąc ich z sobą pogodzić, pobratać i skleić.

„Niech pieśń ta pyłkiem będzie... gdy zaszumieć debem nie może, — i pyłek w stworzeniu potrzebny i on nieśmiertelny.

„Pieśń życia! spytają zdumieni, — a żyłżeś ty, co ją chcesz wyśpiewać? O! żyłem, jeśli życiem nazwać się godzi to dziwne pasemko nadziei, łez, boleści, burzy i ciszy i pracy, pracy mozolnej, na którą gdy się obejrze, to mi żal, że tak drobna, że tak nieznacząca, że tak w obliczu myśli co ją zrodziła — niedoleżna.. O! żyłem, snilem, cierpiałem, pragnąłem, pracowałem, a dziś, gdy się tak wiele przeżyło i prześniło, przecierpiało i przepracowało, nie potrafię powiedzieć, czy warto żyć było.

„Chcę jednak wyśpiewać pieśń nie mojego życia, która pyłkiem będzie tylko, bom i ja w świecie pyłkiem był zaledwie.

„Stańmyż, — oto kolebka — zagadka! Widzicie, na świat przychodzi dziecko świata, człowiek, z jaką go witają radością, jakimi mu sypią życzeniami! Jakby sami byli kiedy szczęśliwi, jakby kiedy spełniły się ich życzenia!

„Jedna tylko, matka jedna, wita męczennika łąką na oku, a łąka to prorocza, co przepowiada cierpienia, co pierwszy chrzest boleści obmywa dziedziczą ziemi...

„Srebrna kropelka błogosławieństwa i wieszczby spadła na rumianą skroń, a z nią wielka, tajemnicza siła; dziecko dotknięte nią drgnęło, poruszyło się, uczuło już może ból który ją zrodził, i błogosławieństwo które niesie z sobą... Łąka to święta — chrzest to pierwszy.

„Ojciec się zbliżył i zapłakał także; ale łąka jego,

Iza mężka, Iza owoc myśli nie serca; poleciał duchem w świat i przyniósł zeń tę Izę, równie proroczą, ale chłodną. Tamta spłynęła na pierś dziecięcia — ta mu oblala głowę i znowu poruszyło się przeczuciem... Był to chrzest drugi, chrzest boju, jak pierwszy był chrztem miłości.

„Inni zamiast Iez przynieśli słowa i posypali niemni kolebkę, jak szeleszczącymi liśćmi suchymi, które jesień zwarzyła.

„I spadły słowa. Jedne jak martwe liście, a inne jak muchy z brzękiem przeleciały po nad kolebką, zaszemrały, uciekły i pochowały się zaraz... Słońce życia wywiedzie je kiedyś znowu z kryjówek, znowu przylecą i odlecą znowu, kołysze się, kołysze kolebka dziecięcą.

„A razem z pieśnią piastunki, słychać już nad nią, nad dziecięcia głową, wiele krzyżujących się głosów... Posłuchaj sercem zdaleka, bo je sercem tylko schwycić można, jak do snu kołyszą, jak niemowlęciu śpiwają jego przeszłością.

„Zdała, zdała. dochodzi najprzód głos wojny.

„Z pól krwawych śmierci, przybiegają jęki bólu i boleści, i wpadły mu w ucho, aż się wstrząsnęła dziecina, i płacze i kwili... Czegóż to płaczesz dziecino? pyta matka. — Jakiś je szelest przebudził! — odpowiedziała piastunka, śpiewa i kołysze.

„Nie szelest sen mu przerwał, ale bój i mordy, bo ucho dziecka wszystko jeszcze słyszy, wszystko co się po świecie dzieje, ono jeszcze nie oderwało się od ludzkości. nie odcięte od niej, czuje z nią ruch jej każdy, drga wielką jej boleścią. Później będzie to człowiek, a człowiek już sam sobie światem całym, i nic nie usłyszy nad to, co zechce posłyszeć.

„Spij dziecino! spij gołąbku! woła piastunka, i znowu je usypia.

„A już mu w uszko wciska się pieśń inna, przylatująca zdaleka.

„Słyszysz gwary, słyszysz szmery, wrzawę i spory ludzi, bój to inny, bój drugi, bój słowa, straszniejszy może od walki rąk i piersi. Tam z pobojowiska dusze ulatujące poległych wojowników, anieli niosą do nieba; tu tylko ludzie na ludzi czatują, tu szatan dmucha, ostrzy im wyrazy, nabija myśli brato-bójcze, celują do siebie, rażą się, zabijają, powstają upiorami zabici, plwają w twarze rodzonym, i sądzą, że z tego wrątku prawda urośnie! Słupi, ślupi! wrzawę i spór szatan gotuje w kociołku, a Bóg jej nigdy nie błogosławi; z boju braci rodzi się tylko uienawiść, jak ze zgnilizny robactwo.

„Znowu zbudziło się dziecko, — co ci to znowu dziecino?

„To blask ją obudził! — odpowiedziała piastunka.

„Zakołysali — usnęło, tuli znów oczęta — czemuż się tak wzdryga i rzuca?

„Na drugim krańcu ziemi, brat zdradził brata, krew, nie krew może; łza, nie łza uawet, słowo spłynęło cicho ze zranionego serca, i otbudzi się jeszcze dziecina.

„Spij dziecko, spij kochanie, kołysz ją do snu znowu — spij i marz gołąbku!

„Ale oczy otwarło, rozżaliło się i płacze.

„Cóż mu znowu sen przerwało?

„Ach! tam kiedyś daleko było dusz dwoje, które sobie przysięgły w niewiekuistym życiu wiekuistą miłość, i potargały pęta, które utkały nadzieją... a dziecko poczuło i zapłakało.

„Nie dziwcie się niemowlęciu, sen jego wszystko



przerywa, zdrada, miłość, bój, modlitwa — o miękkie jego serduszek kołaczą niewidome, miotają niem i zasnąć nie dają.

„Śpiew niani, cichy, drzemający, nie zagłuszy pieśni wielkich świata; jeszcze sobą nie żyjące, żyje już drugiemi, i blakając się po świecie, podstuchuje cudzego życia — kolebka się kołysze, kołysimy się nad kolebką! Już nie jedna śpiewa niania, już jej wszyscy śpiewają — każdy ze swoją przyszedł piosenką, kto z czem mógł, — ojciec, matka, babka, siostra, braciszek i niania, i gość i kapłan.

„Cicho! cicho! posłuchajmy, kołysimy się nad kolebką.

„Pieśń matki pierwsza, jest pieśnią przecznia.

„Życie moje, aniolecze — szepcze cicho — spij dopóki cię nie zbudzi boleść, smutek, reka Boża, ręka ludzka, spij, sza! cicho, cicho! cicho! Wszyscy my tu wokoło ciebie, ja i ojciec, przyjaciele i aniołek nad głowami. Złote skrzydła mu szeleszczą, rączki wyciąga do ciebie, szmerem kolebki kołysze... spij kochanie, spij!.. Sen twój drogi, sen posilny — dalej, dalej nie stanie czasu na sen taki. Sen dzieciństwa a sen mężki, jak odmienne, jakie różne na dnie naszych snów trapiących męty wczoraj, wyziew jutra, w twoich są same nadzieje. Patrzysz przez ich złote wrota. i nie widzisz, że za nimi stoi wielka przepaść czarna! Spij kochanie. spij! O! gdyby mi widzieć dano tak losy twoje, jak widzę życzenia nasze! gdyby wzrok posłać można za wrota nadziei po kwiatek pociechy! Na cóż? Bóg jest i za nimi, na dnie tej czarnej przepaści jak na niebiesiach zarówno... Może na dnie tajemnicy leży jakie gorzkie słowo, słowo nędzy, los sieroty! O, ja nie chcę to widzieć.

„Spij kochanie, spij aniolku, patrzaj jak ci tuspo-kojnie, w kolo serca tarczą stoją, nie do ciebie nie dopuszczą, niczemu dotknąć nie dadzą. — Nie! mój Boże! gdybyż nie! Gdybyż zawsze jak w tej chwili serca wieńcem w okół stały, nad głową skrzydła anioła, w piersi dusza tak niewinna i taki spokój kolebki!!!

„Tak śpiewa i dama matka, a ojciec...? Ojciec czolo sparł na dłoni, myślą goni dumy jakieś, z których dla swego dziecięcia splata wieniec i kuje korony. On marzy, on czuje. Tamta przeczula, że za złotemi wrotami nadziei, stoi czarna przepaść, ten już ją widział, a jeszcze w nią nie wierzy, śniąc przyszłość dla swego syna.

„Spij dziecko, woła w swej duszy, spij, a wyrastaj mi w siłę, w siłę potężniej dwoistą, duszy i ciała, spij, bo sen także macierzyńską karmi piersią, i olbrzymiej mi w kolebce ciałem, duszą idź w olbrzyma, bądź silnym tylko, bo silnym wszystko posłuszne na świecie, aż do losu, aż do szczęścia; odwadze wrota otwarte na rozcież, nie ci nikt nie da, czego nie wywojujesz głową, ręką. wołą, siłą. Spoczywaj teraz za przyszłość, bo nie skosztujesz spoczynku, gdy cię raz trąba obudzi, gdy weźmiesz kostur pielgrzyma, przypasziesz miecz wojownika. Życie jedną walką długą z ludźmi, z losem i ze światem, gdzie potu otrzeć z czoła nigdy nie ma czasu. chwili nie ma ani westchnąć, ni za siebie obejrzeć się mokrem okiem. Na zapracowanych dłoniach sam ja ciebie wykołyszę, i do uszu twoich wleję dwa słóweczka tajemnicze, dwa drobne słowa urocze, w których jest życia zagadka!

„Cierpliwość i odwaga!

„O! pamiętaj te dwa słowa, bo w nich wiele, bo w nich wszystko się zamyka.

„Spij i rośnij... Widze, widzę, jaką dla mnie będziesz chluba, jak ja skarleje przy tobie, ażeby dodać ci wzrostu, jak będę stał, słuchać będę wielkich słów i czynów twoich.

„I w pośród pieśni popłynął z dumaniem daleko, a choć to była pieśń myśli, serce jej biciem wtórzyło.

„Gdy ucichł, zbliżyła się do kolebki babka staruska, siwo-włosa i zgarbiona. na której ustach oświeconych starością, wykwitał uśmiech niewinny młodzieńczego wesela. W jej sercu tak już było błogo, jak błogo żeglarzowi co ujrzal w złotych blaskach wieczora długo oczekiwaną ziemię. Schyliła się nad kołyską ze łzą i uśmiechem, drżącym głosem nuciąc dziecinie.

„Aniołek to boży! aniołek! patrzajcie! jak on spokojnie usypia, jak mu się we snach śmieje; rzekłbyś, że widzi proroctwo niebo, na które zasłuży. A! długo, długo jeszcze tobie bojować na świecie, nim jak ja dojdiesz do wrót, czekając tylko kolei, by wniknąć po sąd i nagrodę, po przebaczenie i spoczynek; ale przeleci życie ptakiem, jak mnie, jak każdemu! Będą w niem godziny wiekuiste i lata błyskawiczne, a wszystko potem u proga, z wysoka wyda ci się jedną chwilą, chwilą marną i znikomą. Gdybyś jak dzisiaj pozostał aniołkiem na zawsze, w białej chrzcie twego sukience, niezwalanej błotnistą, krwawą życia drogą!!

„Spij mój aniołku, nad tobą wieszam ci błogosławieństwo, ja wkrótce w proch się rozsypię i pójdę gdzie Bóg przeznaczy, a ten dar mój ubogi, dar ten niewidoczny, pozostanie nad twą głową, anioł-stróż trzymać go będzie. Chyba odpędzisz anioła, błogosławieństwo uniesie. Ale nie, dziecino moja, czysta krew w żyłach twoich płynie, niezmieszana krew szlachecka, meźnych

rycerzy i niewiast pobożnych, nie ma w niej żaru zbrodni, namiętności ogniów, ni sadzy gniewu i złości. A mnie Bóg życia przedłuży, ja sama za młodu zegnę jeszcze twe kolano i duszę nagnę pod rozkazy Boga. Spij dziecino, gołąbeczku, spij na rękach aniołów-stróżów, cicho! cicho!

I głos zamarł, tonąc w serdecznej modlitwie na ustach staruszki.

„Aż siostrzyczka uśmiechniona skradła się do kołębki, schyliła nad nią, rączkami objęła, poruszyła dumną siłą, -popatrzała w twarz braciszka. pocałowała w powietrzu i przyklękła i śpiewała.

„Spij kochany mój braciszku, patrz jak wszyscy cię kochają, tulą, pieczą, słonią, na paluszkach w koło chodzą, muszki nie puszcza do ciebie; komarowi zabrzęczać nie dadzą. Spijże a wyrastaj prędzej, prędzej, prędzej. Zobaczysz miły braciszku, jak mi się dzwigniesz na nóżki, to cię bawić, bawić będę. Jakich kwiatczków narwę tobie, jak cię wozić, jak cię nosić, jak ci ślicznie będę śpiewać, tymczasem się nauczę wszystkich piosnek... całego, całego świata.

„A jak cię będę całować!! Rano, jeszcze trawy się kąpią oblane rosą, słonko wschodzi, oczkiem mruga, brzęczą pszczołki, ptaszki świergoczą, perełki w listkach migoczą; — my wsiadamy do wózek, starszy braciszek popycha, jedziem szparko i daleko, siedm mil za siódmą rzekę, za siódmą górę i morze do pałaców kryształowych, po ptasie mleko dla ciebie, po śpiewającą wodę, po jabłuszka złote... A tu o nas głowy łamią, mama płacze, ojciec łaje, my wracamy zwiedziwszy cudne światy, z jabłkami, mlekiem i wodą. Babunię odmładzamy, papie wszystkie złoto damy, pta-

siem mleczkiem co szczęście daje, tak się równo podzielimy, że ja będę na ostatku, i mnie go chyba zabraknie.

„Aż nadleciał i brat starszy. kołyskę siostrze odbiera.

„Tybyś sama kołysała, bawiła się i patrzyła — puszczał, i mnie się coś przecież koło braciszka należy. Tyś siostrzyczka, ja brat jego, my mężczyźni! Tyś dziewczeczka, tobie siedzieć w okienku za krosnami i poglądać, nam we dwóch latać po świecie! O! jak oba podrośniemy, polecim gdzie nas oczy, kędy serca nas poniosą! tak daleko, że aż ziemi nam nie stanie! A szerokie ziemie nasze sławiańskie, bo z najwyższej Karpat góry ani końca ich dopatrzyć, w rok ich orłem nie przelecieć. nie przekocharć całe życie, takie wielkie, a tak cudne jakby w bajce... Pojedziemy het! daleko, a powrócimy tak wyrośli, tacy wielecy, że nas chyba pozna matka, — ojciec skłoni się zdaleka i zapyta się po cichu: — co to za piękni rycerze?

„Śpiewając brat rozmarzony, rozkołysał tak kolebką, że aż niania gdy spostrzegła, przestraszona przyłeciała, żeby nie zbudził dziecińy — brat z bata kłasnął i pojechał w pole; ona tuli zbudzonego i swoje nuci piosenkę.

„Spij moje kochanie, tul oczki niebieskie, a nie marszcz mi czołka, a nie krzyw mi ustek... Patrz! sen idzie mimo domu, do ciebie wstąpi w gościnę, czy pijany, czy zdrzemany, ale ledwie nogi wlecze; chwala Bogu usiadł w progu, białą szatą się otulił, coś zanucił, główkę schylił, chce odpocząć w naszej chacie. Cicho! snu nie odpędzajmy, gość to drogi w całym życiu. Czyją chatę on omija, biada ludziom, biada chacie, bez snu i szczęście nic-potem, i nie naje się człek

dolą, schnie, wysycha, ziewa, nudzi się i umiera. I snu nie zakupić złotem, nie wymodlić go prośbami, nie przywabić go muzyką, gdzie chce swobodny on leci, czasem w lesie przenocuje, choć drzewa szumią nad głową, czasem w polu gdzieś na miedzy, czasem i do wsi zawita, a jak słoneczko zagrzeje, gdyby łodek roztopnieje. Znów wieczorem o zachodzie, czy spadł z rosą, czy go ptak przeniósł pod strzechę, czy na białym przybył koniu... witaj gościu! prosim, prosim! chodź do chaty, do dzieciny, do kołyski. Wlecz, wlecz się ulicą, czy pijany, czy zdrzemany, ledwie nogami dźwiga, szuka gospody sobie, a gdzie na drzwiach krzyż zobaczy, puka żądając noclegu... Inne drzwi stoją otworem, i stoją próżno noc całą, czary z nich starty krzyż, sen nie przestąpi progu...

„Co też to ty śpiewasz nianiu, przerywa jej kapłan stary — tak masz śpiewać dziecięciu? nie o gusłach, nie o czarach, nie o pogańskim snu bóstwie; o betlemjskim mu żłobie, śpiewaj wcześnie o Golgocie. Nie zaszkodzi gdy choć we śnie Chrystus nawiedzi dziecinę, modlitwa ją ukołysze. Zawczasu uczcie modlitwy, rano pójdzie słowem wiary. Ciężkie bo ciężkie jest życie. — Krzyż to pański, cierniów droga! Wzywajcie pomocy Bożej, przeciw potędze szatańskiej, w kolebce krzyżem go zbróćcie, osłaniajcie modlitwami, każdej to rany lekarstwo, na wszelką nędzę ratunek.

„Chwilę ucichł głos kapłana, a oko jego znużone i zbladłe patrzeniem na świat i ludzi, zaszło mu tłą srebrną, jak włos posiwiały — nikt jednak nie śmiał milczenia przerwać i świętej zadumy. A starzec usta otworzył i znowu szeptał po chwili.

„Dziwy cie w świecie czekają! Otworzysz oczy i

znajdziesz na każdej ścianie, na piersi, na ustach każdych i czole Chrystusa znamię... ale napróżno, napróżno odwoływać się do niego! Nikt ci już w imię to święte nie poda dłoni, ni wody, ani słowa pociechy, ni serca braterskiego! Zmarł dla nich Chrystus powtórę, ukrzyżowali go znowu, w niemym złożyli go grobie. A jeśli go wywołują, chcą Boga czynić współnikiem swych namiętności i szalów! W świętem ewangelji słowie dla nich kamień obrażenia, wyrwą z niej martwą literę, ducha wycisną żywego, a zimnem próchnem chcą świecić na nocnej swej fałszu drodze! Pójdiesz ze świętego domu w świat szukać w Chrystusie braci, a znajdziesz tylko skalanych, upadłe dzieci szatana, które po wodzie chrztu czystej, obmywają się w kałuży.

„Wielkie miłosierdzie Boże! któż wie, ty będziesz przykładem, ty im będziesz nawróceniem, możesz już napiętnowany, a Bóg naznaczył w kolebce czoło twoje na mieszkanie wielkiej myśli, a usta na wieszczą pieśń nawrócenia!

„Może wśród ochrzczonych pogan, ty będziesz Janem, zwiastunem przyjścia ducha miłości, pokoju, ducha mądrości i zgody! Rośnij w mądrość, rośnij w siłę i w pokorę; a anioły niech ci szepczą u kolebki, co ty w życiu swem odśpiewasz zdumionemu braci światu!

„Kolebko! kolebko! łożo największej zagadki, ty kołyszysz tajemnicę, a nie ma czoła, choćby było jak lód chłodne i jak marmur twarde, któreby schylając się nad tobą nie zamarzyło, nie zadumało się jakie tam ziarno choduje ta niema lupinka? Bohater to czy zbrodniarz — prorok czy milczący brat bydłęcia? człowiek czy niepostrzeżona częstka tłumu? owoc który ma dojrzeć, czy kwiat przeznaczony na podcięcie wiosenne?

„Naprawdę myśl ludzka sili się, szuka znaków, szczeblów przyszłości, odgaduje i wróży, drzwi stoją zaparte, a anioł z mieczem ognistym strzeże wnijsia do grodu tajemnicy.

„Kolebko! tyś pączkiem zielonym kryjącym barwy nieodgadnione, długo kwiat stulony w tobie spoczywa aż zaświeci słońce, pękły zaslonki i na świat listki wybiegły malowane.

„Najprzód w świat wybiegło dziecko oczyma, patrzy niemi na cudne dzieło Boże, jeszcze ustek nie otwiera. chyba z bólu i ze łzami. I myśl się sama rozbudza w niem: zwolna jak sieć pajęcza czepia się przedmiotów i osnuwa je w uroczystem milczeniu. Milczy dziecko, patrzy i płacze.

„Ale wnet wybiegło w świat słówkiem! nowa to życia epoka; myśl co zbierała się w łonie, na świat strzelila. ze światem je spaja i ogniwnem łączy niewiedomem z milionami umarłych, z milionami żyjących, z przeszłością i z przyszłością całą.

„W chwili gdy pierwsze słówko dziecko wybelkocze. ileż to radości w domu! zbiegli się wszyscy żeby je usłyszeć, każą powtarzać, zdumione onieśmieliło i milczy, jakby się samo głosu swojego ulękło, lza potoczyła się tylko. Znów kiedyś wśród ciszy, kiedy je matka sama lub niania słyszeć będzie, powtórzy to słowo pierwsze dziecina.

„I poleciało w świat słowo, pytaniem, skargą, żądaniem, westchnieniem, a drżąca wargą co je wyrzekła, ozłociła się uśmiechem zwycięstwa. Poleciało w świat słowo, myśl z niem leci i wita wszystkie cuda ziemi, nurtuje przepaści. wzbija się na wyżyny, ciekawa, niecierpliwa, rwąc się ku otaczającemu. Słowo doleciało



aż do Boga i myśl za sobą pociąga, zstępuje do otchłani nicości i zagadło o życie samo.

„O! w dzieciństwie myśl co chwila roztrąca się o wielkie zagadki, bije o zadania wieków, dopiero później zwalana, bezsilna zanurza się w kałach i gnuśniej w nich spoczywając. Któż się kiedy nie zafrasował odpowiadając na dziecka pytanie? Kto nie zaniemiał w życiu przed mądrością dziecięcia? W pytaniach dziecińy więcej jest często, niż w odpowiedziach starości. U kolebki myśl śmielsza i dusza raźniejsza, wprost do celu goni, a cel jej widny jeszcze.

„Za oczyma, za słowem, zerwało się dziecko do czynu, już czuje, już myśli, już pragnie, już mówi, już wyciągnęło ręce, postawiło nóżki... idzie — i pada!

„Obraz sił ludzkich i życia.

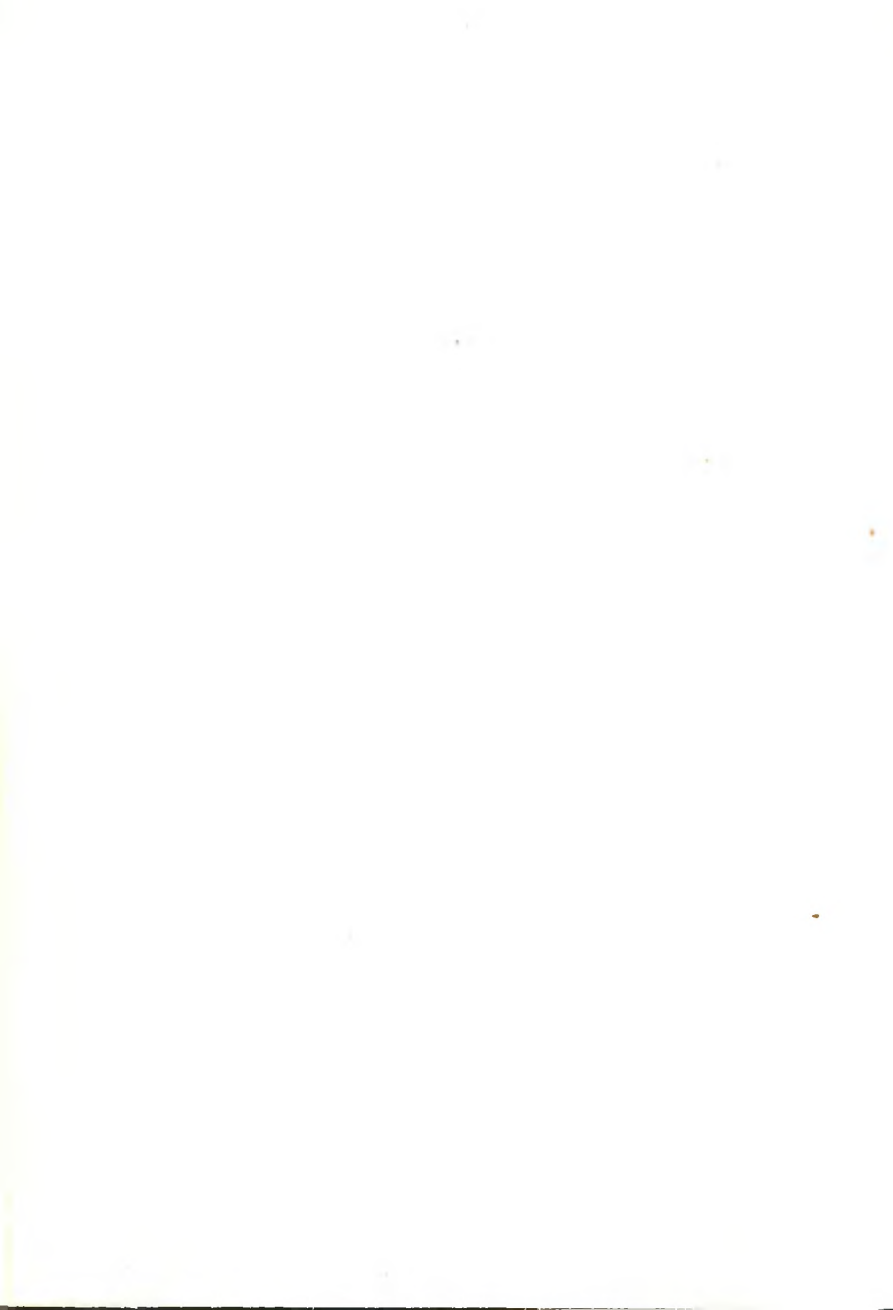
„Takim jest rozum nasz, takimi drogi nasze, idziemy, padamy, płaczem, podnosim się i idziemy znowu, aż do tajemnic mogiły, aż do niemyślnej śmierci.“



# Historja prawdziwa

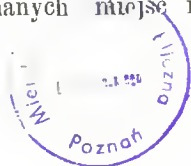
•

JANIE DUBELTOWYM.



# I.

Był zwyczaj w Wileńcu, że w Wielkim Tygodniu odwiedzano tłumnie kościółek KK. Bonifratrów, w którym piękna amatorska grywała muzyka, i przy nim szpital obłąkanych, w tym dniu, w części przynajmniej, dla ciekawych otwarty. Płochą ciekawość wiodła tam wielu, i nie pojmowałem nigdy, jak z za drzwi tych z wesołą twarzą wynijść było można. Dla mnie nawet widok śmierci nie był nigdy tak bolesnym i przykrym, jak obraz ostatecznego upadku najdroższych władz, stanowiących człowieka. unikałem go też ile możności, i choć muzyka nie jeden raz zwabiła mnie do kościoła szczytnego, gdzie się ledwie słuchacze chcieli pomieścić mogli, z obawą i przestachem jakimś dziecinny zdaleka tylko spoglądałem na drzwi w pół otwarte, wiodące do nieszczęśliwych, oddzielonych niemi od rodziny i świata. W ogólności zdawało mi się zawsze, że i sposób leczenia, i sposób postępowania z obłąkanymi, był zupełnie fałszywy, i raczej dopomagał rozwinięciu choroby, niżeli ją wstrzymywał. Oddzielenie nieszczęśliwego od ukochanych niżej i osób, wyrwanie go



z łona rodziny, rzucenie na ręce obcych, zimnych i surowych ludzi, za kraty, w mury posępne, wśród twardy obojętnych, jeśli nie groźnych, nie sąż to środki zabójcze? A są przecie ludzie bez serca, w rodzinach możnych nawet, którzy przez samolubstwo najwystępniejsze, gotowi na pierwszy wykrzyk boleści, żalu i niezrozumiałą myśl jakąś, rzucić w tę przepaść najbliższych sobie... nie mówmy o nich lepiej... dreszcz mnie przejmuje gdy wspomnę, że świat ich szanuje i cuotliwymi nazywa: że potem modlą się w kościele i do Boga, którego w bliźnim odepchnęli, o pomoc i ratunek wzdychają.

## II.

W roku 1829 poszedłem z towarzyszami memi do KK. Bonifratrów; ledwie pod chórem potrafiłem się jakoś wcisnąć w próżnię, którąśmy gwałtem wyrobili młodemi lokciami zapamiętałych dilletantów — staliśmy tam do końca muzyki, a gdy tłum wypływać począł, Eugenjusz, Edward i Romuald poczęli mnie silnie namawiać, żebyśmy zaszli do szpitala, do którego zaraz z kościółka w lewo drzwi prowadziły. Poczynałem wówczas lat ośmnaście, młodym był bardzo i na nieszczęście do zbytku drażliwy; z obawy, żeby mnie za sobą nie wciągnęli i nie zmusili patrzeć na to, co nadto silne uczyniłoby wrażenie na umyśle i tak już rozkołysanym, cofnąłem się aż ku wnijściu, protestując przeciwko temu. Zaczęto się śmiać ze mnie i nazywać tchórzem. W ośmnastym roku, obelg się takich nie znosi, kościelna cisza, którąśmy szanowali, nie dozwalała się tłómaczyć, ze ściśniętem sercem poszedłem z nimi,

ale postanowiłem wyrwać się od nich i uciec co prędzej. Małego wzrostu ksiądz Jacek, przyjął nas u drzwi; było jeden z braciszków, poświęconych usłudze i pieczy nad obłąkanymi.

Nie można sobie wyobrazić nic pospolitszego i mniej obiecującego nad twarz i postawę księdza Jacka, chociaż bliżej poznany był to skromny, ale dostojny i zacny pracownik, który święcie spełnił swe ziemskie posłannictwo. Mały, gruby, kłódkowaty, czerwony, z rękami wielkimi i niezgrabnymi, wydawał się jak figurka w źle wytoczonych szachach, której główkę tylko jako tako wyrobił artysta, a resztę ledwie okzesawszy, porzucił. Twarz miał okrągłą, pełną, ale tak nic nie znacząca, tak startą, jakby natura wysiliła się, by nią człowieka zamaskować; nic z oczów, nic z ust, nic z czoła niskiego nie mówiło. Dopiero gdy usta otworzył, gdy się ożywił, gdy dusza rozjaśniła te rysy pospolite... promieniał zeń ewangelicznych cnót prostaczek święty, jakich mało na świecie.

### III.

Ronald, który nie wiem z kąd zna księdza Jacka, uśmiechał się do niego w progu ze zwykłą sobie łagodnością i przywitał go, coś mu szepcząc na ucho, ja zawiązałem w progu, nieśmiejąc iść dalej, i oczyma bojaźliwymi rzucając w koło, jakbym się przerażającego spodziewał widoku. Tymczasem ujrzałem tylko kilku mężczyzn w szlafmycach i zwykłym szpitalnym ubraniu, przechadzających się powoli, poważnie, spokojnie po izbie sklepionej. Na żadnej z tych twarzy nie było szalu, jakiegom się obawiał, choć na każdej silne wstrzą-

śnienie wyryło ślad niestarty; wszyscy byli męczennikami jakiejś istoty, jakiegoś uczucia, jakiejś myśli lub wypadku, który pochłonął ich życie i igłę zegara na smutnej zatrzymał godzinie. Romuald, Edward i Eugenjusz poszli dalej, ja zostałem przy drzwiach, i widzieć, że poczciwy Z. coś tam opiekując się mną szepnął księdzu, który z uśmiechem, jakby dla dodania mi odwagi i zrobienia znajomości, poczęstował mnie tabaką. Przyjąłem ją, ale nieprzywykły, kichnąłem straszliwie, i gdym oczy otworzył, obok kłaniającego mi się z życzeniem dobrego zdrowia Bonifratra, ujrzałem i drugą postać w złowrogiej białej szlafmocy.

— Pomyślności — rzekł nieznajomy, który się zaraz do mnie przywiązał, dosyć wesoło — pomyślności! panie akademiku!

— Przedstawiam panu, mego dobrego przyjaciela pana Jana — rzekł ksiądz Jacek, który uczul się potrzebuym do dozoru w drugim końcu celi, i spiesźnie odszedł w inną stronę, zostawując mnie sam na sam z owym Janem. Przyznam się, że w niemalym byłem strachu.

#### IV.

Ów Jan wszakże nie powinien go być obudzać — byltło człowiek czterdziesto-kilko-letni, siły dość jeszcze, i resztkę młodości mający w wejrzeniu i uśmiechu, łysy, o ile się można było z pod szlafmocy domyślać — a w oczach jego tylko prawie niedostrzeżony niepokój o jakimś wewnętrznym podrażnieniu świadczył. — Po sposobie ułożenia sukni, szlafmocy, po czerze delikatnej i rękach niezapracowanych, poznać w nim



było można człowieka, przywykłego do starań około siebie, do pewnego porządku i wygody. W rysach wiele było szlachetności, i tego, co jakby urągając się sobie, ludzie nazywają rasą. Nie można się było omylić, bytło człowiek niegdy zapewne zamożny, dostatni i dobrze wychowany, próżno szukałem w nim zrazu śladów szaleń, zdziwilo mnie tylko, że się ciągle ku drzwiom, oknu i po za siebie, jakby z nalogu jakiegoś, oglądał.

Uśmiechnął się do mnie, gdyśmy sam na sam zostali, a że tu przy drzwiach była ława dębowa, wskazał mi ją i pierwszy usiadł na niej, widocznie zabierając się do rozmowy. Zaczął ją bardzo po cichu.

— Kogoż mam honor?

Powiedziałem mu, rumieniąc się, moje nazwisko.

— Chciałbym — rzekł kręcąc głową — równie się panu zarekomendować, ale tu zachodzi wielka trudność, rozmaicie mnie bowiem nazywają; ja sam różnie siebie zowią, stosownie do czasu i okoliczności, ksiądz Jacek przezwiał mnie nie bez przyczyny Janem Dubeltowym, a więc niech i tak będzie... Gdyby tylko ten łotr nie nadszedł i nie przeszkodził, mógłbym panu o sobie wiele ciekawych rzeczy powiedzieć.

Zdumiałem się, sądząc, że ten wybryk stosował się do księdza Jacka.

— Kto taki? o kim pan mówisz? — spytałem żywo

— A o tym, o tym... dodał cicho — o lotrze... juściż się powinieś domysleć — dodał z uśmiechem, wskazując poza siebie.

— Domysleć się nie umiem, całkiem nie wiem o kim mowa.

— A! jakże niewiesz — przerwał z wymówką, wszakże wszyscy o tem wiedzą, i niepotrzebnie tylko z tego

robią przed sobą tajemnicę. Waćpan jeszcze jesteś młody, bardzo młody, ale już powinieneś być pocznąć i zrozumieć o co chodzi.

— Powtarzam panu, że to dla mnie rzecz niezrozumiała...

— Domyślasz się, że mówię o drugim mnie, o tym łajdak, co mi struła życie nienastannie bijąc się o posiadanie tego ciała, wszakże dla nikogo to nie tajemnem, że każdy nosi w sobie dwóch ludzi.

Spojrzałem nań wielkimi oczyma.

— A! to widać, że się jeszcze w waści nie odezwał ten drugi — rzekł, widząc zdziwienie moje — no! to tembardziej ostrzedz cię muszę. Zażył tabaki, obejrzał się ostrożnie, potrząsł głową i tak powoli rozpoczął.

## V.

— Wszystkim to jawna, że w każdym człowieku jest wistocie nie jeden pojedynczy człowiek, ale dwóch różnych ludzi... nie pewniejszego — każdy z nas jest podwójny, czujemy to w sobie, a zawsze jeden coś robi, drugi słucha i przeciwi się, jeden czynnym, drugi świadkiem i szydercą... Jakże to może być, spytał zwracając się do mnie, żebyś już nie poczuł w sobie tych dwóch ludzi, którzy całe życie walczyć w tobie będą? Nie poczęliż oni tej rozmowy nieskończonej i nużącej, którą nienastannie prowadzić muszą, póki jeden na wieki nie zamilknie? Nie rozpoczęliż boju? Bój to śmiertelny, albo ten łotr Kain niewinnego Abła zabije, albo Abel mieczem Bożym wypędzi Kaina, albo się zrosną jak bracia Siameczycy i wyrodzi się z nich mieszaniec jakiś, pół-djable weneckie, jak większa część ludzi, bo trzeba

ci wiedzieć, że takich najwięcej po świecie. W głupcach pospolicie i Abel słaby i Kain niesilny, troszeczkę się z sobą na początku pokłóca, potuzują pocichu, potem zawrą przymierze i mieszkają dosyć zgodnie pod jedną powłoką, małeńkie figle sobie platając. Ale gdy silniejsza natura, gdy Abel ma skrzydła a Kain palkę, gdy się bitwa między niemi zapali, o! o! to się tego tłuką i krew płynie nie żartem i guzów nie mało... a wyrzutów sobie nie szczędzą... Ot! ot! zdaje ci się, że Abel wypędził łotra Kaina, nie — powraca już do domu, niewiedzieć którejdy, zwycięzcę wyrzuca i panuje z kolei i ryczy i szaleje... Straszny to dramat wewnętrzny, któremu śmierć dopiero tamę kładzie, a kim cię zgon pochwyti, Ablem niewinnym, czy Kaiuem niepocziwym, tym na wieki zostaniesz u Boga! Ani godziny spokoju, ani chwili spoczynku — cichaczem jeden drugiego podchodzi, nie jeden co się spać Ablem położył, wstał z łóżka zbuczonym Kainem... a świat się dziwi i ludzie sobie głowy darmo łamią, że ten, co wczoraj był barankiem, dziś się wilkiem sroży: — nie prostszego, nie zrozumialszego, cała rzecz, że każdy człowiek jest podwójny.

— Tak — odpowiedziałem biednemu Janowi — jeśli waćpan przez to rozumiesz dwojakie w człowieku skłonności?

— Nie! nie! nie — gorąco odparł rozprawiający, to nie jest żadna figura: żywa — i szczerą prawdą zasadniczą, *homo duplex*, bez najmniejszej wątpliwości, w każdym siedzi biały i czarny, anioł i szatan... alboż nie słyszałeś ich rozmowy? Nieustannie jeden się drugiemu rzekomarzy. a gdy milczeć musi, to chichocze z kąta. Płaczesz, tamten się śmieje i wola. — A! jest

czego braciszku, śmiejesz się, truje ci wesołość, kochasz, wrzuca ci odrazę i wątpliwość, tęsknisz i lecisz do niebios, sofistykujecie przeciw Bogu i niebiosom... słowem, pokoju nie ma, a zawsze ci dwaj ichmościowie na przekór sobie robić muszą... Jak to być może, żebyś już waćpan w sobie tego nie poczuł, żeś podwójny? Szczęśliwy jesteś, jeśli jeszcze z Kainem nie miałeś do czynienia, ale skrada się, czyha, odezwie po cichu i przyjdzie; zawsze się trzeba mieć na ostrożności. Biada temu, kto się odrazu urodził spokojnym mieszkańcem szarym, i nie zna w sobie dwóch ludzi — ten ledwie jest człowiekiem.

Ja, mogę się pochwalić — dodał, — że całe życie od dzieciństwa walczyłem i walczę z czerniakiem, ale do tej pory go nie zmogłem, powraca! powraca! Dla tego obawiam się co chwila, by nie nadszedł, nie wskoczył na mnie przez ucho, przez oko, kat go wie którędy, bo bym inaczej gadał i innym być począł człowiekiem. Ale zdaje mi się, że tu przez kościół wejść nie może, a kraty w oknach mocne, i taki doświadczyłem, że się księdza Jacka boi... możemy więc pogadać śmialo.

Uderzył mnie dziwnie logiczny szal tego nieszczęśliwego człowieka i prosiłem go, by mi swoją opowiedział historję.

— Z najmilszą chęcią — odpowiedział — ale nie darmo... gdy pójdziesz którego z tych dni wiosennych, nad Wiliją, przyniesiesz mi kwiatków z nad jej brzegu, to moja rzeka rodzinna... Ja je tak lubię, tyle mi przypominają, a sam po nie pójść nie mogę, na drodzeby mnie gdzie ten lotr przydybał, a wie dobrze gdzie mnie szukać i czyha tylko!

## VII.

— Urodziłem się — rzekł po namyśle — na naszej kochanej Litwie, w cichej szlacheckiej zagrodzie.

Jeszcze ją jak dziś widzę i mam przed oczyma, choć tam cudzy ludzie gospodarzą i wiele się odmienić musiało; — człowiek gdzie stąpi, wszystko do swojej wiary przerabia, i nie może być inaczej — w tej zmienności świata jest wdzięk i smutek jego, jego tęsknica i piętno znikomości, które go czyni tak uroczym, tak poruszającym, jak dziewczę konające w rozkwicie młodości. A i ślicznie tam było... toć płasko jak na dłoni, a gdzie oko pobiegło to się o las oparło; ale bory nasze ze swym szumem to nasz step, to morze sine, mówiące nam, o czem gdzieindziej rozповідаją przestrzenie zielone i głębie czarne... o nieskończoności, o Bogu! Ja przynajmniej kocham lasy, bom się wśród ich szumu wychował... W kolo niemi opasany stał dworek otoczony poletkami urodzajnymi, i wioseczka w brzozech i jodłach cała, w kamienne płoty ubrana, i olszyna stara z bocianami za ogrodem, którą podszywały niezliczone dzikich malin gęszcze, i stary sernik z chorągiewką blaszaną, i kapliczka z krzyżykiem żelaznym, który się pochylił od wiatrów zachodnich, i słomiana strzecha moja, na której mchy się wygrzewały. A! cobym dał, cobym dał, żeby ją zobaczyć raz jeszcze — ale tam cudzy gospodarują ludzie... Nie! nie! nie ma nic wiecznego, gdzie się paliły ofiary Bogu, dziś czarna krew płynie na cześć szatana, świętokradztwa nieustanne... i ekspiacje bez końca. Świat nie może wyniść z pokuty, bo nieustannie grzeszy na nowo... Nie zgroźaż to, by

w miejscu, na którem stał krzyż i było miejsce modlitwy, skleić dla pijanych gospodę lub dach dla rozpusty? A! tak mi serce krwią zachodzi, gdy pomyślę, gdy wspomnę, że może szatańskim śmiechem rycządziś tam, gdzie spokojna mojej matki modlitwa podnosiła się do nieba. Ja sam pierwsze Ablowe moje przeżyłem lata, i anim się spodziewałem, ani domyślałem co mnie czekało na świecie... Kain się jeszcze nie pokazał, czyhał dopiero gdzieś w mroku.

O! dla czego nam młodość tak droga, myśmy w niej dłużej lub krócej sami sobą, silni jednością, nie składały jeszcze usta nasze, sercu nie rozkazywał Kain i Abel na przemiany, dym jego ofiary nosi się ku niebu na wiekiwieczną pogodę, a żaden wietrzyk nie kłóci uroczystości ciszy.

## VIII.

Gdy to mówił, jakby na przekór, drzwi ciężkie od kościoła do tej izby wiodące, od ciągu powietrza poruszyły się i z trzaskiem zamknęły; ja sam wstrząsnęłem się ze strachu, a na twarzy Jana ujrzałem tak gwałtowną przemianę, że zdał mi się w istocie innym człowiekiem. Nie wiem co mu się stało, czy jakby mgłą się powlekły, usta drgać poczęły, wstał, rzucił się i usiadł, oglądając się bojaźliwie na księdza Jacka, a gdy na nowo mówić spróbował, ani głosu jego, ani ciągu myśli poznać nie mogłem.

— Wiem — rzekł, mierząc mnie z niedowierzaniem — pan tu zostałeś przysłany przez nieprzyjaciół moich dla wysłедzenia co się ze mną dzieje. Otóż widzisz że jestem zupełnie zdrow i pomszczę się na nich wszystkich...

Waćpan gotów jesteś wierzyć temu co przed chwilą mówiłem; ha, ha, balamuctwo! balamuctwo! dzieciństwo! Człowiek w moim wieku nie rozczuła się i nie rozmazuje niewiedzieć czego; żartowałem tylko z waćpana. Co mi tam wspomnienia młodości... głupstwo! użyć świata, to *verbum personale*, zgnieść wrogów, stać się niezależnym i ludźmi jak piłkami pomiatać, oto cel. — Kto wymyślił dobroć i łagodność, ofiary i stękanie poświęcenia, sam nie wiedział jak głupią dał do grania komedję tym małpom, co go naśladują... Gdzież jest na świecie prawo, nakazujące być dobrym i żyć dla drugich, nie dla siebie? Każda istota w sobie czuje ognisko świata i wszystko sobie poświęca, dlaczegożby człowiek, bydlę trochę rozumniejsze od tych które zjada w poledwicy i zrazach, miało być wyjątkiem?

Gdy tak mówił pośpiesznie, gorączkowo, bez oddechu, zbliżył się ku nam ksiądz Jacek, i w panu Janie zaszła natychmiast zmiana powtórna, uspokoi się, uśmiechnął, a jakby ciężar spadł mu z piersi, tak znowu pierwszym swym głosem mówić począł.

## IX.

— Ot patrz waćpan, anim się obejrzał, jak ten lotr przezedrzwi się tu wcisnął i na chwilę mnie był opanował, ale go już przegonił i nie ma go... słyszałeś jak bluźnił? Otóż to taka nędza moja, że tyle mną owładnął, tę samą głowę i usta, których ja na dobre nżywam, zaraz na swoje łajdactwa obraca.

Jeszcze nie mogę przyjść do siebie, śmiały! śmiały! O czymżeśmy mówili? o młodości, tak, zdaje mi się... ten stan niewinności nie trwa długo... Kain czyha,

otwiera oczy. ocknął się; i jednego wiosennego poranku wstajesz z niepokojem w duszy, bo nieprzyjaciół już ci się wkradł do wnętrza i zamierza opanować zdradą, wziąć bez bitwy, a Abła w tobie udusić pociehn. Jeśli cię jaka pobożna duszyczka, lub twój anioł-stróż nie ostrzegł, żebyś dobrze w siebie wglądał, przepadniesz w pierwszym spotkaniu. Abel i Kain żyją zrazu jak bracia, w jednej kolebce, w jednym Ewy uścisku. Abel głupintki jeszcze, Kain ndając słodzinachne stworzenie: ale gdy jeden patrzy w niebo, drugi go ściąga na ziemię. A ziemia tak piękna młodym oczom, młodemu sercu; mój Boże, i tak w niej ugrzęznąć łatwo!

Pamiętam jak dziś, stary Bernardyn, ksiądz Józef, który często bywał u moich rodziców, pierwszy mnie ostrzegł o grożącym niebezpieczeństwie; wpilo się to w umysł młody, ale zrazu tego lajdaka próżno jakoś w sobie szukałem. tak się skrył głęboko i gościć umiał z braciszkiem, że go ani znać było.

Tylko bywało, gdy się przyjdzie rozgniewać, kiedy przyjdzie użyć fałszu, gdy się namiętność rozbuka, niewidomą siłą pomaga do ładajakiej roboty i poklaskuje spełnionej. Drugi znown smuci się, wstydzi i płacze. Dopiero rozmowa między niemi.

— A! jakie z ciebie dziecko! cały świat tak robi, cnota jest tylko oszukaństwem i spekulacją...

— Ale do niej wiedzy przeczcnie, ku niej sternje pragnienie, czemuż wstydem oblewa ni czoło?

— Wstyd jest przesądem i tchórzostwem...

— Czemuż ów pierwszy, a bezwstyd i zepsucie drugim po niem? dla czego tak silnie mówi w sercu?

— Bo je niem z młodu napojono.

— Bo je z sobą od Boga przyniosło...



I gdy jeden płacze, drugi się śmieje, zrazu zwycięstwo wątpliwe, bo z kolei pierwszy, to ostatni zwycięża.

Postrzegłem się nierychło, że mnie Kain krępować poczynął.

— Czekałno, braciszku, zawołałem, nie jeszcze z tego nie będzie; począłem walkę na zabój i nie poddałem się lotrowi. Zobaczywszy że się silnie wziął do niego, cofnął się na jakiś czas, i tak mnie tem uspokoił, że był pewien, iż go nie ujrzę więcej.

Była to chwila, w której Antosię moje kochać poczynalem... Tamtemu miłość taka znać nie w smak była, jemu i Antosia, i Jadwisia, i Julka, wszystko równie było dobre, co miało dwoje czarnych lub niebieskich oczów, i pierś nabraną tęsknotą i pragnieniem. Ilem razy szedł do Antosi, a trzeba było iść przez wioskę i mimo dworków sąsiedzkich, podkradnie się bywało i sprowadza mnie z drogi, a to do Julki, a to do Justysi, a to do Rózi, i choć serce do tamtej bije, znajdzie coś we mnie co do nich pociąga... Trzeba go było widzieć jaki to był żuch do dziewcząt, jaki dowcipniś, jaki śmiałek, jak mu nigdy słów i odwagi nie zabrakło, ani dwóznaczników i lgarstwa, ani sposobów ujęcia... Zobaczywszy że to się na złe zanosi i że w brudach utonąć przyjdzie, kupując to groszem, to fałszem co się sprzedawać nie powinno, dałem mu jakoś w kark i poszedł jak zmyty, a ja przy Antosi zostałem.

Jakoż nam się tak szczęśliwie składało, że ledwieśmy się pokochali, nie do wesela nie stało na przeszkodzie, rodzice go sobie życzyli, myśmy do niego wdychali, wszystkie warunki odpowiadały żądaniom, i ksiądz pobłogosławił marzeniu przyszłości...

X.

Ksiądz Jacek rozmawiając z Romualdem trochę się był od nas odsunął, ława na której siedzieliśmy stuknęła, mój rozmówca się poruszył, i znowu twarz jego dziwnie zmieniła i począł się śmiać szydersko.

— Czasem to na mnie napadają te śmieszne jakieś czułości i łzawe usposobienia — rzekł żywo — ale to z choroby. Trzeba pannę wiedzieć, że m się ożenił najgłupiej w świecie. Antosia była dobra dziewczynka, ale to proste, ubogie, bez wychowania, a taka w serduszkku kobiecina... Kochała pewnie ze dwóch przedemną, a z dziesięciu się jej po mnie podoba. Historia mojego ożenienia, jest historją nieszczęść moich, zawiązałem niem sobie świat, zakopałem się w dzinrze zapadłej, a ta kobieta zrozumieć mnie, ani ocenić nie mogła. Byłem człowiekiem wyższych usposobień i gwałtownych namiętności, ani jednemu, ani drugiem pokarmu nie mogło nastarczyć życie, do zabicia jednostajne, ciężkie; miłość którą prędko przesyca nśmiejch stereotypowany, żale codzienne też same. ziewanie co chwila szersze. Musiałem zaniedbać Antosię... Któż temu winien? zanadto gorące i szerokie Bóg mi dał serce, jedna miłość powszednia wystarczyć mu nie mogła! (Oż zresztą znaczą łyzy jednej kobiety? Miała dziecię, które ją pocieszać było powinno, i przyjaciół, i wdychającego do niej platonicznego... ba! kto tu wie czy platonicznego kochanka!! Rzuciłem się w świat większy: domowej rzeki mało dla piersi, musiałem na morze wypłynąć. Wszakże jej nic nie brakło? nie wygnałem z domu, nie zapomniałem o jej potrzebach.

Byłbym wielką zapewne i znaczącą rolę odegrał na świecie, gdyby nie dziwna, chwilowa miękkość, której sobie darować nie mogę, a obronić jej nie umiem. Zbyt zniewieściałe odebrałem wychowanie, tysiące mętów z tego ulepkę osiadły na dnie serca, i oczyścić z nich go nie potrafię. Na najwięcej obiecującej drodze powstrzymywała mnie i wstrzymuje skłonność dziwna, chorobliwa... jakaś drażliwość sumienia, która w stanowiącej chwili odbiera odwagę i czyni mnie istotą bezsilną, rozstrojoną... Sumienie, opinia, niedorzeczności tego rodzaju, zawadzały mojemu szczęściu, które przecie pierwszym być powinno celem człowieka...; innego to darmo! nie widzę... Balamucą nas niem, ale to dobre dla ciemiegów, nie dla nas, co się nad te przesady wznieść umiemy.

## XI.

— Co waćpan prawisz? co waćpan prawisz nic do rzeczy? zawołał w tej chwili ksiądz Jacek, który zbliżywszy się podслуchał ostatnie słowa Jana; głos bonifratra czarodziejsko podziałał na biednego; znowu nastąpiła przemiana, i wyjaśnionym wzrokiem spojrzawszy na braciszka, spokojł go szepcząc po cichu:

— Nic, nic, nie bójcie się, gadamy sobie z akademikiem... to tak! o różnych rzeczach...

— Ależ waćpan bałamucił? — rzekł ksiądz Jacek.

— Tak trochę, ale to już przeszło — odpowiedział Jan — znowu się był do mnie przyczepił ten utrapienie... wypędziłem go... nie przeszkadzajcie nam... ten młody chłopiec umie słuchać...

Ksiądz Jacek ruszył ramionami i odszedł.

— Otóż to waćpan masz próbkę tego, co się ze mną dzieje — zawołał Jan po chwili — pokoju mi nie daje. to jeszcze dobrze kiedy się da wyforować, ale często bywa, że siądzie obok pocziwego Jana ten niegodziwiec, i ząb za ząb się z nim ujada, to mnie tak zmęczy, że na siłach upadam... O czemże mówiliśmy? o biednej Antosi podobno. Ożeniłem się, ożeniłem i kochałem ją szczerze, i bylibyśmy szczęśliwi, gdyby nie intryga tego łotra. Anim się postrzegł, jak mi wszystko psuć zaczął; wynalazł zaraz, że ona mnie nie rozumie. gdy przeciwnie jam tego aniola był niegodny i serca jego pojąć nie umiałem; domyślił się kochanków, gdzie może byli przyjaciele, gdzie szukano tylko pociechy i współczucia; zatrul mi pożycie wątpliwością i objętnością, żądzą jakąś namiętności gwałtownych, nienasyconych... Bronilem się mu ze łzami; biedna Antosia pojąć nie mogła po wieczornym uścisku rannego gniewu i szyderstwa, tych przemian czułości i niewiary. które wybuchały z kolei. Nakoniec rzadszemi coraz stały się przywiązania dowody, jam płakał, on odciągał. porzuciłem dom.. wybiegłem w świat.

A i któż opisze, com doznał w chwilach oprzytomnienia płacząc po straconem szczęściu, po cichym dworku i osierociałej Antosi... Nieraz przy pięknej Adeli, nowej mojej kochance, dla której traćilem com miał tylko, rzucał mnie Kain i odskakiwałem od niej ze wstrętem, uciekałem z obrzydzeniem; to znowu gdy mnie ten zły duch opętał, leżałem u nóg jej, usiłując przebłagać... Wszystkie namiętności, któremi brzydziła się druga moja połowa, rozbudził we mnie nieprzyjaciel: pragnienie zysku, dumę nienasyconą, upodobanie w fałszu i oszukaństwie. Ledwie na chwilę odzyskiwałem

przytomność i wpadałem znowu w ten stan, którego całą podłość czułem, widziałem i cierpiałem za nią.

## XII.

Bylbym może pod tą władzą zaborey pozostał na wieki. gdyby serdeczny żal przeszłości nie wyrobił we mnie sił rozpaczliwych, niemi wygnałem z siebie Kaina i uciekłem od tych miejsc, które widziały poniżenie i grzechy moje. Ale duch złego nie odszedł odemnie daleko, uciekł tylko przybity, ścigając mnie zawsze. i wśród ciszy pokutniczej, prześladowając szyderstwem, starając się uludzić swoją sofistyczną dialektyką...

Nocą i dniem słyszałem w sobie te dwa głosy, z dwóch przeciwnych krańców, wiedząc niewyczerpaną dysputę z gwałtownością, od której pękała czaszka i rozbijało się serce. Cokolwiek czyniłem, gdzieś stąpił, szedł za mną prześladowca i nicował każdą myśl, każdy ruch pocziwy, wykazując go głupim i niedołężnym. Jak syn marnotrawny powróciłem do domu i jak on przyjęty zostałem przebaczeniem, łzami, miłością. Ale to ciche szczęście, które mi wprzód wystarczało, dziś było bez smaku, zatrute goryczą przeszłości, a Kain umiał je oplwać i obrzydzić. Ledwie stąpił na próg domowy, znalazł we wszystkim co dla mnie było najświętszem, powody urągowiska i broń przeciwko poprawie; trzymałem się jednak na stanowisku...

— Ale to wszystko balamuctwo — przerwał nagle prostując się pan Jan — miewam także chwile fałszywego na świat poglądu i słabości.. Proszę pana nie śmieć się ze mnie... mówiłem to na próbę... Młody

jesteś, dodał uśmiechając się, przyjm dobrą i ważną radę odemnie, strzeż się pracy w życiu, jest to żywioł niszczący: nie bądź dobrym, bo to do niczego nie prowadzi; zrozumiej tylko egoizm i praktykuj go, a będziesz mógł wyrobić sobie, jeśli nie szczęście, bo ten los i traf rządzi, to przynajmniej być znośny.

Ziewnął. — Tak mnie ta pocziwa żona moja znużyła, żeś się aż do klasztoru dla spoczynku wsunął... używam tu diety moralnej, wytchnę, nabiorę sił i wróćę używać póki jeszcze można.

### XIII.

Gdy to mówił, Romuald z księdzem Jackiem podszli ku nam, obejrzał się i zamilkł pan Jan, a po chwili wstał i odszedł chmurny w głąb' sali.

— Co to za osobliwszy fenomen? — spytałem benediktyn, który znów częstował mnie tabaką...

— Bardzo biedny człowiek — odparł z litością de-  
zorca — szczerze mi go żał... a niewiele mam nadziei,  
żeby wyzdrowiał.

— Któżto taki?

— Obywatel z Zawilejskiego, w głowie mu się z jakichś głupich pomieślało miłostek, chciał się rozwodzić, to znowu powracał i przeproszał żonę, wchodził kilka razy do służby i nagle ją porzucał, nie było nigdy ciągu i logiki w jego życiu... a chwilami napadały go nawet niebezpieczne szaleńcze gniewy... teraz jest lepiej nieco. — Kto wie? Bóg łaskaw, jednak wątpię wielce, żeby się nam udało całkowite mu zdrowie przywrócić.

— Ale on całkiem przytomny, — przerwałem, — jedynem zdaje mi się w nim obłąkaniem, to rozdwojenie dziwaczne, na które choruje.

— Lekarz, który tu do niego przychodzi, robi nam nadzieję, że potrafi dwojaka w nim tego zniszczyć, — rzekł ksiądz Jacek; — daj to Boże! ja się nie śmiem spodziewać.

Chciałem się był więcej rozpytać, ale w tej chwili towarzysze moi wychodzili, Romuald mnie pociągnął, i choć obłąkany dosyć mnie zajmował, rad byłem, że się wymknąłem na ulicę z tego smutnego więzienia.

#### XIV.

Zupełniem był potem o Janie zapomniat, i przyznam się, że nawet obiecanych mu kwiatów nie przyniósł. Kilka nęłynęło miesięcy, gdy raz chodząc po Zakrecie i zrywając wiązanke letnich już kwiatków, przypomniałem sobie moję bytność u Bonifratrów, i przyrzeczenie dane Janowi... przykro mi się zrobiło, że słowa nieszczęśliwemu nie dotrzymał, wyrzuciłem to sobie żywo, i narwawszy natychmiast, co tylko znaleźć mogłem, pobiegłem już nad wieczór do Bonifratrów. Nie rychło na żądanie moje wywołany wyszedł ksiądz Jacek z twarzą spokojną, przywitaliśmy się jak starzy znajomi.

— A śliczne kwiatki — zawołał, nie pytając dla kogo je przyniosłem Bonifratr, i bierze je w ręce z uczuciem, wywołanem zapewne jakimś wspomnieniem dalekiem i oddawna zagasłem — a gdzie to je pan rwałeś?

— W Zakrecie.

— Proszę! i dla kogoż to ten bukiet?

— Przypominasz sobie może jegomość dobrodziej, moję bytność w Wielkim tygodniu... ten biedny, którego tu poznałem, prosił mnie, żebym mu kwiatów

przyniósł... niezmiernie sobie wyrzucam, że tego nie zrobiłem wprzód, że sobie dopiero dziś przypadkiem przypomniał, ale lepiej późno niż nigdy.

— Ślicznie powiedziano — odparł ksiądz Jacek — tak, zapewne, we wszystkim. choć późno, byle dojść do celu, to grunt! Ale...

— Nie mógłbym zobaczyć pana Jana? — spytałem.

— A kiedy go tu już nie ma — odparł powolnie Bonifrater.

— A gdzież? — zawolałem z przestachem — co się z nim stało?

— Wyzdrowiał... i na świat powrócił.

— Jako? zupełnie?

— Całkiem, całkiem!

Ale mówiac to ksiądz Jacek, zamiast rozpromienionej, twarz miał smutną i niemal łzawę oczy. Zdawał się nie cieszyć a ubolewać. Zrozumieć tego nie mogłem, chciałem był czegoś się więcej dowiedzieć, i już miałem na ustach zapytanie, gdy ktoś nadbiegł, żądając pomocy księdza Jacka do jakiegoś furjata, którego on tylko umiał powstrzymać i uśmierzyć... Odałem mu niepotrzebne już kwiaty, i dosyć zdziwiony, zasmucony jakoś, odszedłem do domu.

## XV.

Tak to się żywo żyje w młodości! tyle myśli i wypadków przynosi nam dzień każdy, kocha się tak prędko a! i zapomina tak łatwo. Później, zbierając łupinki po gościńcu, maluczko już mają tych skarbów, któremi nam szafowały dni pierwsze ta, hojnie, — skąpi, chowany odrobiny i zaschle nawet staramy się odwilżyć pa-



miatki... Ale w dniach młodości piorunem lecą uczucia. Nie dziwujcie się, że w rok całkiem zapomniał i odwiedzin u Bonifratrów, i Jana, i kwiatków, i wrażenia jakie na mnie zrobił widok tego rozdwojonego człowieka.

W wielkiej sali domu Müllera trzech czy czterech nas zasiadło do objadu u osobnego stoliczka przy oknie. Dla naszych akademickich kieszeni zuchwalstwem było porywać się na kartę Titiusa, ale przybyły z prowincji eks-towarzysz zapraszał, wesoło więc zabieraliśmy się po naszej powszedniej strawie zgodzonej miesięcznie i pożeranej za pańszczyznę, byle nie umrzeć z głodu — odwilżyć usta wytworniejszem jadłem. Nigdy nie jedzenia jako przyjemności życia nie pojmowałem, miałem je tylko za niezbędną potrzebę dosyć upokarzającą i nudną, ale kilka razy trafiło mi się, po długim wygłodzeniu, lub wstręt obudzających pokarmach, doznać prawie przyjemności u dobrego i smacznego stołu, — odzywało się zwierzę we mnie. Ten objad był z liczby owych kilku pamiętnych — karmiono nas młodych zwykle tak lichy, że często mimo głodu, wstręt brał do jadła, któreśmy zastępowali niezliczoną ilością szklanek kawy z bułką. Po kilkomiesięcznej tego rodzaju djecie, kilka potraw dobrze zrobionych i kieliszek wina przychodziły jak ożywiająca rosa na zwiedłą roślinę, i nowymi, niepożądowanymi obdarzyły siłami. — Wesoło mi się zrobiło ku końcowi objadu, i spojrzałem po sali z wielką ochotą kochania całego świata, — oczy moje zatrzymały się nagle na stoliczku, w pośrodku stojącym, u którego dopiero teraz spostrzegłem pięciu czy sześciu mężczyzn, niezmiernie haczo biesiadujących z kielichami szampauna w ręku i szampańskim

humorem na ustach. Twarz jednego z nich, który mi się zdawał częstować i gospodarzyć, dziwnie mi się jakoś przypominała jakby gdzieś widziana i znajoma, ale jej do żadnego nazwiska, do żadnej postaci przywiązać nie umiałem. Spojrzałem raz i drugi, nie mogąc zdać sprawy z wrażenia; podrażniony począłem oglądać pilniej, i nie rychło dopiero przyszedł mi na pamięć pan Jan od Bonifratrów.

Tak! on to był — wyrażniem go przypominał teraz, ale strój staranny, miejsce w jakim go znalazłem, zmieniały do niepoznania. Oczy się nasze spotkały, zatrzymał je na mnie, ale nie zdawał się przypominać, żeśmy byli znajomi, i szybko je odwrócił. Ci panowie, których przyjmował, bawili się tak ochoczo, on sam wykrzykiwał tak głośno, mówił tak śmiało, obawa, jaką dawniej zdradzał, i wzrok, i każdy ruch jego, tak całkowicie znikła, żeśm poniekąd zwątpił czy mnie jakie nadzwyczajne nie ułudza podobieństwo.

Nie spuściłem go jednak z oka, i gdy czas się było rozejść, a u drugiego stolika przedłużała się rozmowa, i coraz nowe butelki szampana odkorkowywano, przystałem nieco od towarzyszków, chcąc lepiej się temu niespodziewanemu przypatrzeć zjawisku. Wziąłem w rękę jakąś gazetę, i udając że ją czytam, odwrócony do okna, siedziałem na straży.

Kilka razy obejrzał się na mnie pan Jan dosyć niespokojnie, widziałem że go przytomność moja drażnić musiała. Dobrze już byli podchmieleni, żartowali, śmieli się, szeptali, rzucali imionami kobiet, weselość wzbudzona winem dochodziła do najwyższego stopnia, na jakim jej przyzwoitość stanąć dozwalała. Nareszcie powstali, pan Jan zapłacił kartę, schwycili za kapelusze

i wyszli spiesznie. Mnie serdecznie żał było, żem go z oczów stracił, gdy z za drzwi powrócił, jakby czego zapomniał, i zdziwiony ujrzałem go tą razą wprost zmierzającego ku mnie.

— Jak się pan masz — rzekł, podając mi rękę z uśmiechem, wszak musiałeś mnie sobie przypomnieć?

— Tak jest — rzekłem — i bardzom rad, że go widzę tak zdrowym i wesołym.

— Bo też w istocie jestem zupełnie zdrowszy — podchwycił szybko — raz na zawsze opuściły mnie dziwne przywidzenia moje; śmieję się z nich dzisiaj. Był to skutek trochę miękkiego wychowania i drażliwości zbyt uczuciwej; dobytek sił, by się przerobić z gruntu, i zahartowałem na nowo. Dobrze mi się tu powiodło, ani śladu tych dzieciństw dawniejszych, o których i pana proszę byś zapomniał. Może będziesz łaskaw mnie odwiedzić, mieszkam tu w mieście...

— Nie na wsi?

— Nie. tam sobie żona moja gospodaruje... nie lubię wioski, nudna! Ja potrzebuję ludzi i wrażeń, czasem tylko dojeżdżam w Zawilejskie, żeby zobaczyć co się tam dzieje, i dać się mojemu dziecku oślinić... Mieszkam naprzeciw domu Pusłowskich na pierwszym piętrze... ot. jeśli nie masz lepszego do zrobienia, przyjdź do mnie na herbatę, będzie kilka osób.

To mówiąc, rozśmiał się, zakręcił i pożegnał mnie szybko...

— A! to pan znasz widzę pana Jana Birucia? — zapytał mnie w tej chwili komornik W., który niepostrzeżony zbliżył się i uderzył mnie po ramieniu. — Co to? czy zacząłeś grać w karty?

— Ja? nie! Pana Jana drugi raz widzę w życiu —

ale cóż to za człowiek, bardzo bym był ciekawy czegoś się o nim dowiedzieć.

Komornik pokiwał głową.

— At! co tam ciekawego można o nim powiedzieć! hulak, gracz i po wszystkim, żonę porzucił, cudzą bałamuci! Mówią, że jakiś czas warjował... teraz niby przytomny i zdrow, ale nie wiele na tem zyskał, ciągnie ostatkami, majątek stracił... tfu, nie warto o nim gadać! Jednakże, dodał starszerek, nie radzę się z nim bardzo bratać, chyba masz niepotrzebne pieniądze do przegrania... Żyje choć po pańsku i pokaźnie, ale podobno z tego tylko co komu wyrwie... jak się jemu środków, a ludziom łatwowierności przebierze, zawsze czas w łeb sobie strzelić...

Komornik mówił to serjo, odezwał się w nim jednak pod koniec człowiek XVIIIgo wieku, uśmiechnął się, złożył trzy palce, i całując je, cmoknął... dodawszy po cichu: — Ale co za kobiecina ta, w której się kocha. A! a! niech go djabli wezmą!!

Na temśmy się rozeszli.

## XVI.

Nie miałem najmniejszej ochoty stawić się na zaproszenie pana Jana, zwłaszcza że oprócz komornika W., kilka osób jakoś mi o nim tu i owdzie nie ciekawe rzeczy przebąkiwały. Dom jego uchodził u jednych za ognisko wesołej hulanki, u drugich za jaskinię łotrów: dziwy prawiono o wieczorynkach, na które tam młodzież ściągano. Zresztą byłem pewny, że ubogie, jak ja młode chłopię, ani przyjemności gospodarzowi, ani

towarzystwu wesołego nie przyniosę żywiołu, ani d  
ich tonu nastroić potrafię.

Przeszedł ten dzień i wiele innych, spotykałem  
pana Jana na ulicy, dosyć ładnym jeżdżącego powozi-  
kiem, to z damami jakimiś za miastem na Pohulance,  
lub w Tivoli, klanialiśmy się sobie zdaleka, alem go  
unikał. Dziś już nie zajmował mnie tyle, bo przestał  
być dla mnie fenomenem moralnym, a stał się jedną  
z najpospolitszych postaci, jakich po miastach wszędzie  
pełno. Jużem go miał za całkowicie zatraczonego, gdy  
niespodziane spotkanie dowiodło mi, że Abel, jak  
go nazywał, żył w nim jeszcze, choć Kain panował.

Któż nie zna tęsknot młodości, tych gwałtownych  
porywów ku niebu, którei dusza z nas wyrwa się  
zmęczona w niebieską krainę ku Bogu? Jakkolwiek słod-  
kimi są szale i marzenia dwudziestoletnie, i tych nie  
wystarcza człowiekowi — cała teraźniejszość i cała  
przyszłość nie napoją go nigdy, musi w przestankach  
uciekać się do modlitwy, i łzami, których źródło, jak  
Nilu początek, zakryte na wieki, oplakiwać wygnanie  
swoje. Nie byłem wówczas do zbytku pobożnym, alem  
chwilami czuł popęd, potrzebę kościoła, Boga i reli-  
gijnego rozezulenia. Przytulałem się naówczas do oł-  
tarza jak w macierzyńskie objęcie ucieka dziecko zmę-  
czone długą zabawą, lub zranione w igraszkach z ró-  
wiennikami. Z takim uczuciem tęskniwy wszedłem raz  
po niesporze do katedralnego kościoła; pustką stał ten  
gmach piękny, i pustka ta była niemiłą, bo mi się  
zdało że sam na sam byłem z Bogiem.

Szukałem ołtarza, wizerunku wzroku któryby prze-  
mówił do mnie słowy, jakimi Pan przemawia do sługi  
swego w naśladowaniu Chrystusa Pana. Nowe obrazy,

piękne ale świeże i nieuświęcone wiekiem przybory kościelne, milczały dla mnie, nigdzie nie mógł znaleźć znanej mi twarzy ciemnej Częstochowskiej Bogarodzicy, nigdzie starego krzyża świeącego mnóstwem wotów, znamion wielu cierpień, i modlitw wielu wysłuchanych w tem miejscu... wszystko wydawało mi się nowe, i ręka rzemieślnika lub artysty wszędzie jeszcze nadto była widoczną, a zbyt mało natchnioną. Pełno smaku, nigdzie nie znalazł religijnego namaszczenia. Ośmnasty wiek wiał ze ścian kościelnych, które przerobił.

Błądziłem niezaspokojony, gdy przed kratą kaplicy s. Kazimierza ujrzałem w mroku postać jakąś stuloną, zgietą, złamaną, na wpół na ziemi leżącą. Słychać było wśród tej ciszy uroczystej silne uderzenia głową o posadzkę kościelną, bicie dłoni w piersi, i westchnienie i łkanie.

Ja także zatrzymałem się, spoglądając przez wrota na trumienkę Jagiellończyka, męczennika czystości, co duszę niepokalaną chciał zanieść do niebios, i wołał murzeć niż zniżyć się do objąć namiętności i świata. Miałem go w oczach tego świętego młodzieńca, poetę co zmarł, zostawując po sobie woń lilii uwiedłej i hymn do Matki Boga! Rozpamiętywanie żywota jego przejęło mnie i wzrnszyło, młodością acz zwiędłą i zbrukaną podniosłem się do tej jego młodości świętej i czystej, która mu pozostała na wieki... na męczeńskim płaszczu jego z purpury widziałem droższą szatę białą niewinności, u nóg leżała ziemską koronę, na barkach wytryskały skrzydła anielskie...

Wtem, gdy się tak modłę rozpamiętywaniem, podniósł się z przed kraty ów bolejący pokutnik, powstał

bezsilny, chwytając się żelaznego zamknięcia, podskoczyłem podtrzymać go, i zdziwiony poznałem w nim Jana Birucia.

Spojrzeliliśmy na siebie, — ze łzą w oku schwycił mnie za rękę... luty to znówu był człowiek... smutek upadku, wstyd grzechu, skrucha i boleść malowały się na jego twarzy pięknej teraz i rozpromienionej. Wyciągnął mnie z kościoła za sobą, i długo milcząc, poprowadził ku Wilii. Szliśmy tak ku Autokolowi, ja przeczuwałem wypadek jakiś w jego życiu, wstrząśnienie, smutek, strata, która go do ołtarza przywiodła.

— Nieprawdaż, — rzekł uroczyście zatrzymując się nad rzeką — nieprawdaż, że niepojętym jest człowiek, niezbadanem życie? Nic nie zaspakaja, wszystko rozjątrza, są chwile, w których pragniemy śmierci, podnosim się, ulatujemy, by spaść niżej jeszcze niż wprzód, i śmiechem zaprzeczyć łzom naszym, a niedowiarstwem modlitwie. Dla czego tak nas bezsilnemi czyni namiętność, — czemuśmy tak słabi wobec ci'a?

— Niewymownie się cieszę — odpowiedziałem z uczuciem — że taką w pannę widzę zmianę i nowy zwrot do tych poważnych myśli.

— Zdawało ci się, że utonę w dzieciennych rozrywkach — przerwał z uśmiechem litości — ja sam myślałem chwilę, że niemi, jeśli nie nakarmić się, to upoić potrafię i głód szaleem odpędzić! Niestety! nie udało mi się... Obraz życia spokojnego i pocziwego, jakie miałem, którem utracił, stoi mi przed oczyma, serce Autosi ma jeszcze litość dla mnie, ale ani szacunku, ani przywiązania mieć nie może... dziecię moje nie zna mnie i boi się ojca, któryby je zgorszył nęci-  
skiem, splamił dotykając ustami... Ludzie nie rozu-

mieją i gardzą obłąkanym, kropli litości nigdzie znaleźć nie mogę. A! bardzo! bardzo jestem nieszczęśliwy... i nie widzę ratunku! Drugi raz nie odrobieć życia, rozpocząć go na nowo niepodobna — zmasać z pamięci przeszłość jaka siła potrafi? Nie! nie! pokuta nawet nie zaciera jej, ale odradza, a usta co się raz napily mętów i kwasu ziemi, przyrastają nalogiem do naczynia, czystszy im napój nie starczy!

Szliśmy tak po uad drogą, gdy wtem z za nas głos srebrzysty, kobiecy, zawołał na Jana po francuzku... widziałem jak zadrżał, zawahał się pół chwili, ćwierć mgnienia oka, zbladł i stanął wryty, oglądając się z przestrachem.

W małym karyklu zaprzężonym parą koni rostrych i urodziwych, jechała kobieta tak piękna jak pokusa szatańska; jaśniejąca jak piekło, niezwyeczona jak namiętność. uroczą jak obietnica młodości. Nie było to dziewczę w wieńcu i krasie świeżości i rozkwitu, ale kobieta w pełni sił, czująca potęgę swoją i umiejąca jej używać. Czarne jej oczy tkwiły w Janie, usta uśmiechały się do niego, rączką malutką wołała, grożąc na buntownika. Jan ledwie miał czas skinąć na mnie pożegnaniem, jak burza przeskoczył przez barjery bulwarowe, przebił się przez krzaki, i nieoglądając się więcej, pociągnięty do powozu, zniknął mi w Lemnach pyłu.

## XVII.

W lat kilka potem, będąc ostatni raz w Wilnie, gdym się przechadzał po ulicach, szukając zmian jakim miasto uległo, i nową jego śledząc fizjognomją,



spotkałem od Bonifratrów wychodzący kondukt pogrzebowy, ubogi dosyć i nieliczny. Za trumną szła błąda i wynędzniała kobieta w żałobie, prowadząc dziecko za rękę.

Miałem już minąć po krótkiej modlitwie, i pogrzeb i klasztor, gdy ujrzałem księdza Jacka, który wzrokiem zwilżonym zdawał się żegnać odchodzący wóz czarny. Zbliżyłem się, poznał mnie stary.

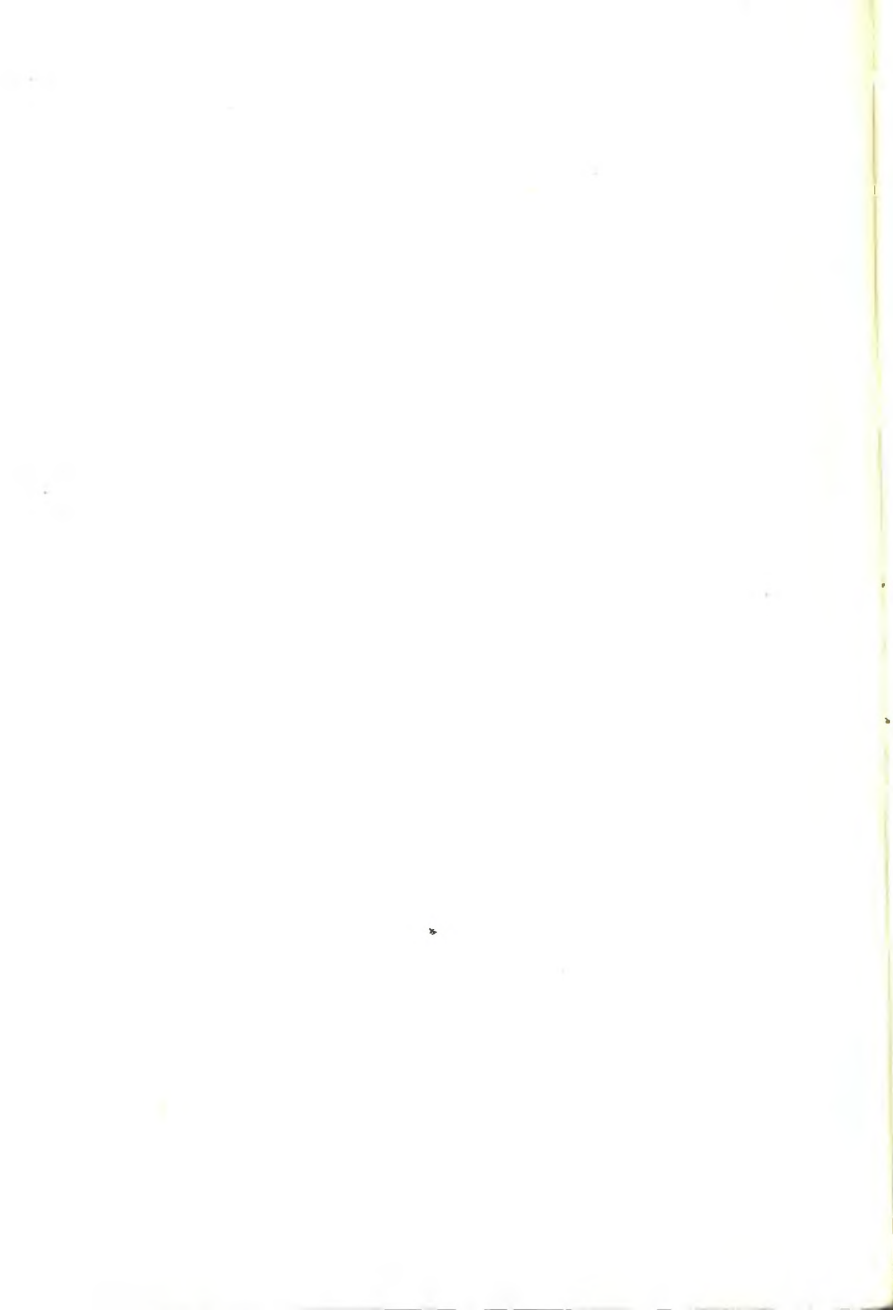
— Szczególna rzecz — zawołał po cichu, — a toż waćpan znów trafił na pogrzeb tego nieszczęśliwego Jana?

— Znów tu wrócił? — podchwycilem zdziwiony — jakże się to stało? byćże to może? zdawał się zdrów zupełnie!

— Stało się to najprościej w świecie — odparł brat — wyżył się, wyczerpał, zdradzili go świat i ludzie... *mundus immundus*, szarpały zgryzoty, opuściły siły. nie miał ich już ani na grzech, ani na pokutę, i w wielkim jęku boleści, ale pojednany z Bogiem opuścił ziemię... nieszczęśliwy zapaśnik... módlmy się za niego, dzieje tej duszy są nie jej tylko historją... wszyscyśmy tacy po troszę! dodał ze łzą w oku Bonifratr, machinalnie sięgając po tabakierkę...

— Wieczne mu odpocznienie.

I zniknął za furką klasztorną, która się za nim z dziwnym hukiem zatrzaśła.



Wspomnienie



**FRANCISZCE KRASINSKIEJ.**



Wiuniśmy uczynności hr. Włodzimierza Platera ciekawą wiązkę starych papierów, z których sądzymy nie od rzeczy będzie wyciągnąć dla wiadomości powszechnej niektóre szczegóły, dotyczące się życia jednej z najbardziej zajmujących niewiast polskich XVIII wieku: Franciszki Krasińskiej. Przyznamy się otwarcie, że nam wiele brakuje, by tę wiadomość uczynić pełną i całkowitą; ale dla czegoż nie mamy skorzystać i z drobnych okruszków, jakie nam traf szczęśliwy dał w ręce? Wolimy zaprawdę źle użyty materiał lub zbytek materiałów, niżeli brak ich zupełny, a to co maluje epokę, zawsze pożądane choćby było maluczkiem i w obliczu poważniejszej historji mało znaczącem. Dla tegośmy to dawniej zbutwiałe listy Nestora Kazimierza Sapiehy zebrali i wydali, choć czuliśmy jak wiele im brakło, by mogły stanowić całość; toż samo uczyniliśmy z urywkiem pamiętnika a raczej raptularza Jenerała Lipskiego, toż samo robim dziś na mniejszą jeszcze skalę, z trochę papierów dotyczących się Franciszki Krasińskiej.

Ostatnim co o niej dał wiadomość ciekawą, był P. Kazim. Wład. Wojcicki, który jej w życiorysach swoich parę kart poświęcił (T. I, 477 — 480). Ale tu po-

mimo bardzo zajmującego wyciągu z rękopisnu, świadczącego o przywiązaniu pięknej starościanki Nowomiejskiej do starościca Wareckiego Kazimierza Puławskiego, mimo ogólnego rysu jej żywota, szczegółów o samem jej zaślubieniu przez królewicza i smutnej doli, jaka wkrótce stała się udziałem niewdziecznie opuszczonej żony, mało bardzo znajdujemy; data zaś ślubu fałszywie jest podana.

Z papierów naszych, wielkie jak się nam zdaje światło rzucających na ten wypadek, przekonywamy się, jak Karol książę Kurlandzki albo mało miał przywiązania, lub lekceważył sobie tę, której przysięgał w obec Boga; wskazują one, że małżeństwo ledwie zawarte, już się chwiało, a dwór Saski w rok po ślubie już się targować poczynił o rozwód... Przebieżym z kolei dokumenta, które mamy w ręku i wskażemy treścią ich i wyciągami, jaka była opinia współczesnych o całej tej sprawie.

Franciszka Krasińska córka była Stanisława Krasińskiego, starosty Nowomiejskiego. z Anieli Humieckiej urodzoną; królewicz Karol poznał ją w domu księżnej Lubomirskiej, wojewodziny Lubelskiej, ciotki rodzonej, która zrazu niemiłym okiem patrzyła na zawiązującą się miłość. a lekła się odpowiedzialności z tych stosunków spaść na nią mogącej, przed dworem i familją własną, odesłała pannę Franciszkę do Maleszowa, do brata. Królewicz w tej chwili jakoś zakochany szczerze, nie sądząc żeby mu się kto opierać mógł gdy nań spojrzeć raczył, listem się u księżnej Lubomirskiej upomniał o pannę Franciszkę i zapytywał ją, gdzie nadal bawić będzie. Ten list księcia Karola, wojewodzina Lubelska pokazywała Brühlowi. Rozpoczęło się to w ro-

ku 1759, a przeciągnęło w 1760 do marca, z coraz większą ze strony królewicza miłością i zapalem. Na karnawal 1760 roku, wojewodzina Lubelska, przewidyując intrygi miłosne i nie chcąc w nich brać udziału, nie pojechała umyślnie do Warszawy i przebyła go w Krasieczynie u pani Krakowskiej: zdaje się, że samo małżeństwo już bez jej wiedzy i wpływu zostało zawartem. Królewicz w lutym 1760 r. wyrobił sobie u Ludwika de Riaucour biskupa Ptolemaidy, oficjała generalnego Brzeskiego i Podlaskiego, indult, dany w Janowie d. 23 lutego na imię Michała Neymann kanonika Brzeskiego, prałata Węgrowskiego, przełożonego kanoników regularnych, na danie ślubu czasu postu, według zwykłej formy. Indult ten wszakże nie wiem jak posłużył, gdyż ślub miał dawać ksiądz Józef Kanty Dymuchowski, poddziekani Lissowski, a ten dla starości i niemocy władzę swoją znalazł u ojca Antoniego Lipiewicza, bernardyna, gwardjana w Piotrkowie, dokumentem dnia 6 marca 1760 roku.

Tejże daty jest poprzedzający małżeństwo dyplom księcia Karola, którego dwie mamy kopje przed sobą, w roku 1762 dopiero do akt Nowego Korczyna wnieśli: (in Nova Civitate Corciuensi, Feria Sexta post Dominicam Cantate 1762. Anno per oblatam porecti. Ad officium etc. Personaliter veniens Mgeus Simon Grodzki Venator Smolenscensis obtulit etc.) brzmi jak następuje: „My. Karol z Bożej łaski Królewicz Polski, Książę Saski a udzielny Rządca y Pan Xięstwa Kurlandzkiego y Semigalskiego: Jako każdemu człowiekowi względ mieć przynależy na przyzwoity stan y kondycyą swoje zmierzać, oraz do zupełnego samego siebie uszczęśliwienia, tak wzięwszy na pomoc tego, który rządzi

myślą, sercem y rozumem ludzkim, ustanowiłem u siebie determinować dalsze życie moje w społeczności z J. W. JM. Panną z Korwinów Hrabianką Franciszką Krasieńską, Starościanką Nowomiejską, którą za prawdziwą obieram sobie żonę y małżonkę, podług obyczajów Kościoła Ś. Katolickiego Rzymskiego, za Indultem de dato 23 Februarii 1760 otrzymanym. I tak te Dyploma moje, które w ręce przyszły mej oddaję małżonki, ściąga się do kontraktu między nami ślubnego, osobiście opisanego. Ta tedy moja z przychylności serca z przywiązania ku tejże JW. JMc Pannie Hrabiance z Korwinów Franciszce Krasieńskiej, Starościance Nowomiejskiej, skłonność wszystkim niech będzie znana i wiadoma, że urodzony będąc z dziada, ojca w tak pięknym szlachebnym Królestwie, tak się pokrewnić pragnę abym miał estymacyą, że piękny i zaćny kocham naród Polaków i w tych obowiązkach chcę zostawać, abym sobie przymnożył jako najwięcej sere obywatelów i to Regii Sanguinis potwierdzam dyplomate, własną przy stwierdzeniu pieczęci, podpisując się ręką. w Warszawie d. 6 Marca 1760.

*Karol* (L. S.)

Dokument ten widocznie na żądanie familii na prędce napisany, po polsku, zredagowany nie wysmieniecie, a zakończony w sposób osobliwszy, pozostał tajemnym do 1762 r. Znać przewidując trudności od króla i dworu, chciano go mieć jako rodzaj zapewnienia i dowodu ważności ślubu.

W wigilję tego obrzędu, spisana także została intercyza, zarówno do 1762 roku pozostała w ukryciu i pod tą samą datą do akt miasta Nowego Korczyna wniesiona; z niej widać, że Stanisław Krasieński żadnych



dla córki darów nie chciał i obyczajem szlacheckim tyle od męża dla żony wymagał tylko, ile sam dawał: ciekawy ten dokument całkowicie tu przepisujemy:

— „Między Najjaśniejszym Królewiczem Polskim, Karolem X. Saskim, udzielnym Rządcą y Panem Xtwa Kurlandzkiego y Semigalskiego z jednej, a JW. JP. Hrabia z Korwinów Stanisławem Krasińskim, Starostą Nowomiejskim z drugiej strony, takowe zapisuje się ustanowienie: Iż JW. JP. Hrabia z Korwinów Krasiński, Starosta Nowomiejski, z Przeznaczenia Najwyższego Stwórcy, a z największego dla krwi i imienia swego wejrzenia, przez dobrowolne Najjaśniejszego Królewica Karola X. JM. Kurlandz. serce ku córce swojej, JW. JMP. Franciszce Krasińskiej, gdy upatruje postanowienie; zważywszy oraz *ad mentem legis* obyczajaje Królestwa swego, i z sprawiedliwego względu pomiarowawszy *statum substantiæ* swojej, tak własnej jako i żoninej, naznacza posagu po tejże JW. JMP. Franciszce Krasińskiej, najukochańszej córce swojej, *ex massa totius substantiæ* sumnę sto tysięcy talarów *curant*. Najjaśniejszy zaś Królewicz Karol, X. JM. Kurlandzki, *juxta usum et praxim* Królestwa Polskiego, tejże JM. Pannie z Korwinów Hr. Franciszce Krasińskiej, Starościance Nowomiejskiej, zapisuje 100.000 *curant* talarów, prostym długiem, darem darując, i bezpieczeństwo tej summy teraz na swych klejnotach ostrzegając. Dobra zaś *totius dominiæ sui*, gdy przyjdą do dzierżenia samego Najjaśn. Królewicza Karola, X. JM. Kurlandzkiego, tedy *meliorationem* zapisu na onychże ostrzega tejże JW. JMP. Hr. z Korwinów Franciszce Krasińskiej, Starościance Nowomiejskiej. Oprawa zaś dla przyszłej X. JM. Jmości Kurlandzkiej a najukochańszej małżonki

swojej, że dla sekretne go mariażu, tenże Najjaśniejszy Królewicz Karol a X. JMé. Kurlandzki wyznaczyé nie może, zostawuje się to *liberalitati* Najjaśn. Królewicza Karola X. JM. Kurlandzkiego, a przyszłego kochającego małżonka. Ta zaś transakcyja, jako *valor* największej mocy być powinna, tak lubo strony obiedwie się teraz między sobą podpisują, jednakże Najjaśn. Królewicz Karol X. JM. Kurlandzki *pro firmiori tutamine* swemu plenipotentowi to ustanowienie roborować zaleca, własna między sobą podpisując się ręką, przy przyciśnieniu pieczęci swych. Działo się w Warszawie 20. Marca 1760. r. Karol (L. S.) Ejusdem Serenissimi Principis Regii.“

Formy wszystkie, o ile dozwalała tajemniczość małżeństwa ściśle więc były zachowane, środki ostrożności przedsięwzięte, legalność zabezpieczona, i 21. marca dopiero (nie w listopadzie) ślub odbył się sekretnie w pałacu Krasińskich. Dawał go, jak widzimy z metryki, której kopją mamy przed sobą, ojciec Antoni Lipiewicz, gwardjan bernardynów Piotrkowskich, jako delegowany i umocowany od proboszcza ks. J. Dymchowskiego. Świadcami byli: ojciec Stanisław Krasiński, Nowomiejski i Przasnyski starosta, książę Antoni Lubomirski, wojewoda Lubelski, pan Felicjan Fwaśniewski, starosta Nowosielecki, pułkownik chorągwi pancernej, i pan Stanisław Jaszewski, kapitan regimentu królowej.

Krótko potrwała i radość familii z tak świetnego związku i szczęście zaślubionej królewiczowi panny Franciszki, która poświęciła podobno skłonność serca młodego blaskowi książęcej korony.

Wkrótce po ślubie, jakkolwiek sekretnym, ale nie

mogącym się ntaić, dowiedział się o nim Brühl i król ojciec, a dwór Saski ani chciał slyszeć, żeby uznać żoną księcia Karola Franciszkę Krasińską. Obawiano się z drugiej strony szlachtę i panów polskich narazić sobie i zaczęły się te potajemne knowania, intrygi, projektu. ofiary, które stałość nieszczęśliwej kobiety jak obelgę odpierała.

Z listów współczesnych wyczerpiemy tu niektóre materiały, wskazujące jak się na sprawę tę zapatrywano; niemal wszystkie adresowane są przez biskupa Krakowskiego do marszałka nadwornego koronnego. (Chociaż nie całe o sprawie Krasińskiej, i wiele innych zawierają wiadomości, mieściu je tu jak są. bo znajdujemy w nich szczegóły zajmujące.

„Z Kiele, 2. Xbris. 1761.

— Przeszłą pocztą gościu zakłóconym będąc, podpisane listy dałem do pieczętowania. i ceremonjalny respons JW. WPanu poszedł, a ten com ja pisał, mając zwyczaj dla sekretu sam zawsze pieczętować, został i dopiero nazajutrz postrzegłem; przyłączam go więc do tego.

Za deklarowaną kanonję Krakowską dla synowca mego jak najumiętniej dziękuje. Przyznaje sam że młody i jeszczebyu go był przetrzymał, a innego rekomendował, tylko że mi idzie o fundusz; pod Krakowem wioska z ogrodem ładnym zaraz pod moim Promnikiem. JX. Kulagowski opowie. A do tego chodzi już na filozofiją, a X. Archidyakon Łubiński chodzi do Gramatyki, a miał kanonję Krakowską, i innych było kilku po lat 15 mających. Pocieszyłeś mnie JW. WPan wcale, że o innej nie myślą redukyi.

Miedzy innymi gośćmi na święta, mam także przy-

tomnych Kochanowskich, Kasztelanów Czechowskich, bardzo mi się oświadczających, i Potkańskiego, Chorażego Stężyckiego, który oświadczył się że do Podkomorstwa Sand. ma deklarowaną protekcję JW. WPana, i teścia jego. Ja też, wiedząc dawniej powierzone mi myśli JW. Pana, układałem tu rzeczy z kasztelanami i innymi urzędnikami, których tu mam wielu, *favoro ejus*. tylko jeszcze zasuspendowałem rzecz do widzenia się z Krajczym Koronnym, który miał tu być na święta. ale znać go coś zaszło, ale w tych dniach będzie pewnie, a to względem uspokojenia Łackiego.

Starosta Nowomiejski przysłał do mnie z listem, winszując świąt i ekzuzując się słabem zdrowiem że sam nie zjeżdża. Ale teraz trochę zdrowszy. Do Kasztelanowej zaś Sandomirskiej przez umyślnego *Staroscianka* ustnie się nadgłosiła, bardzo prosząc, aby ze mnie wyrozumiała, i żebym ja dał jej rezolucję, której słuchać będzie, jak się ma tytułować, czyli Staroscianką czy Xżną Kurlandzką. Uważ JW. Pan, jeżeli to nie jest nasadzenie *de Mr. le Duc*, aby to od mojej dependowało decyzji. Tenże umyślny powiedział, że w tym czasie był Dzierzbicki Chambellan z listami, jeden od Xcia Kurlandzkiego z upewnieniem, że ojciec najpierwsze województwo i starostwo mieć będzie. i z przyrzeczeniem, iż dozgonnie nie odstąpi, że jest stateczny i że Króla ułagodzi. Bo oni są tych u siebie myśli i od Xcia upewnieni, że Król wie, tylko na to nie chce pozwolić.

Odemnie tedy rezolucya taka dana, iż jako ślepy o kolorach sądzić nie może, tak i ja, nie wiedząc wszystkich okoliczności, od JMościów chociaż Pasterz nie mający żadnej konfideneyi i informacyi, dla tego

decydować nie mogę. Ale Jejmość najlepiej wie czem jest i jak się ma tytułować. I to jeszcze dołożył, że nie mając do mnie konfidencyi, z racyi, że Król chce rozwodu, a ja dla Króla jedno z nim myślę.

Interim gdyby też tu do mnie przyjechali i prosili jako pasterza o rezolucję, jak się ma tytułować, proszę abyś JW. Pan pomówił z teściem swoim i dał mi informacją, jaką mam dać.

Drugi list mieli od Graffa Brühl'a, upewniający o Województwie i Starostwie najpierwszem, o posagu znacznym dla Damy i o Kawalerze Panu i bogatym (oni rozumieją, że to Podskarbi Wielki Koronny) ale żeby pozwolili na rozwód. JW. Pan najlepiej będziesz wiedział od Teścia swego, jeżeli pisał. Jutro odjeżdżają stąd Kasztelaństwo Sandomirscy i przez przyjaźń, którą mają, będą u nich. Dałem kommis aby te listy czytali i mnie o wszystkim uwiadomili. Przeto na przyszłą pocztę będziesz JW. Pan miał kontynuacją tej historyi, a teraz zostawam jak zawsze prawdziwym sługą K. X. 13. Kr.“

Znać z tego listu już jak rzeczy stały w półtora roku niespełna po małżeństwie; a biskup Krakowski widocznie ujęty dla dworu, nic bez rozkazu nie robiąc, gotował się tak postąpić w sprawie jak mu podyktują, czekał tylko rozkazu Brühl'a.

Dalej w papierach naszych znajdujemy: *Excerpt z listu wiadomej Damy do Xcia Biskupa Krakowskiego de 3 Jan. 1762, który może przetłómaczony po francuzku komunikować pierwszemu ministrowi.*

List ten tak brzmi: „JMé Panna Starościanka Nowomiejska zwierzyła mi się z wszelkimi okolicznościami w interesie swoim, i gdym jej mówiła czemu

JM. P. Starosta tań dotąd przed Xięciem, JM. Biskupem, odpowiedziała: że Xiążę Kurlandzki zakazał mu aby nie powiadał, dodając że Xiążę Biskup Krakowski jest mój nieprzyjaciół, w czym X. Kurlandzkiego (Graf Brühl przestrzegł, a Xiążę Kurlandzki przed Starościanką powiedział. To także Starościanka powiedziała, że P. Radziwiński, który był Paziem u X. Kurlandzkiego, był szpiegiem u W. X. Mci, i cokolwiek usłyszał donosił Kciu Kurlandzkiemu i Głafowi Brühlowi. Teraz zaś P. Dzierzbicki był z listem od Xcia Kurlandzkiego, w którym utwierdza pannę Starościankę, iż statecznie przywiązany, lecz obliguje o sekret. Dokłada także w liście swoim, żeby nie miała w podziwieniu, iż musiał donieść do Rzymu okoliczność i ceremoniję ślubu swego, ponieważ mu Theologowie skrupuł czynią, jednakże pisze żeby nie wierzyła tym opaczny relacyom, jakoby się miał dla niej odmienić i pretendował rozwodu.

Ten zaś P. Dzierzbicki miał przy tem zalecenie od Grafa Brühla, aby te uczynił propozycye, że ofiaruje imieniem królewskiem JW. Staroście Województwo i Order, JM. Pannie Starościance sumnę ośmkroć stotysięcy assekurowaną przez dyploma od Xcia Kurlandzkiego, ażeby pozwoliła na rozwód i żeby zaraz szła za mąż, i zakogo by poszła, to i temu deklarując honory i Starostwa, i zaraz tego samego P. Dzierzbickiego podając kawalera. Gdy tedy JMP. Starościanka zważyła przeciwność listu i takowych propozycji, powiedziała że to wszystko doniesie Kciu Kurlandzkiemu, tak Pan Dzierzbicki podał sam kopiją do listu, aby się skarżyła na niego, że takie przywiózł propozycye, i napisała ten list.

JMP. Starościanka chce być i z ojcem upaść do nóg WX. Mości, oddając się jego protekcyi, i prosząc, abyś to WX. Mość doniósł Królowi, i proponował, żeby Król wyrobił Xięstwa tytuł od Cesarza JMPanu Staroście, a przez to ją uczynił godniejszą być żoną Xięcia Kurlandzkiego.“

W niespełna tedy dwa lata, już nie bez wiedzy i zezwolenia księcia, traktowano o rozwód, a choć książę przed tą, którą nazywał żoną, grał rolę wiernego a uciśnionego małżonka, widać że sobie już życzył jej pozbyć. Nie inny cel miało poselstwo P. Dzierzbickiego, który dyktując na siebie list ze skargą, dyktował sobie świadectwo wiernego spełnienia posłannictwa, które mu było powierzone.

Biskup Krakowski, przesyłając powyższy wyjątek z listu, dodaje marszałkowi nadwornemu: — „Wojewodowie Lubelscy o Starościankę Nowomiejską jak się mocno byli pokłócili i w kłótni się rozjechali, tak się znowu zjechali i bez żadnej wymówki pogodzili się, ale jak miarkuję to tylko *ad oculum*, wewnątrz zaś złe są z sobą.

Komunikowała mi Xżna korespondencję z sobą Xcia Kurlandzkiego i respons swój; kazałem to przepisać prędko i też komunikuję (tego nie mamy), ale proszę o sekret, bo Xiężna nie wie żem przepisał. Możesz WPan komunikować Grafowi Brühlowi, ale także pod sekretem. — Interim Xna Wojewodzina *persistit* i zaklina się, że *persistit*, że nie weźmie nigdy do siebie Starościanki.“

Biskup Krakowski w całej sprawie okazuje się aż do zbytku oddanym dworowi i świeckim raczej urzędnikiem, przywiązany do familii Saskiej, niżeli pa-

sterzem i opiekunem owiec swoich, donosi co gdzie zasłyszał, radzi się Brühla, nie śmie kroku zrobić bez zezwolenia marszałka nadwornego. — Wkrótce potem pisze z Borzęcina *de 16 Januar 1762*, do Marszałka.

„Już w aktualnej podróży do Sandomierza, mam honor odebrać łaskawą JW. Pana Dobr. odezwę die 13 czer. z życzeniem pomyślnej ekspedycji tej mojej kampanii. Za które jak najuniżeniej dziękując upewniam, że i na tamtem miejscu *cum clero mihi commisso* nie omieszkam *ferre vota altissimo pro incolumitate et prosperitatibus* pana mego kochanego.

Cieszysz miue JW. Panu Dobr. mocno wiadomością o melioracyi zdrowia Imperatorowej, i bodaj zełgał jeden mój korespondent, który mi pisze, że chociaż w Warszawie głoszą, że się ma lepiej, jednak z niebezpieczeństwa nie wyszła.

Także jeden korespondent pisze mi, że JW. Pana z Kanclerzem Kor. chcą godzić, ale mi zaraz niepewność tej wiadomości sprawuje, gdyż wyraża, iż przez Wdę Inowrocławskiego, i tylko czekają na przybycie Xięcia Wojewody Ruskiego, to zaczęła tę negocyacyę. Wczoraj był u mnie jeden od Starosty Nowomiejskiego jadący, i powiadał, że tak on, jako i wszyscy goście i domowi, Starościankę zowią Xiężną Kurlandzką, tylko ojciec ani tak ani inaczej, tylko Franusią. Z tem się także oświadczył Starosta, że jak już wszyscy tak ją tytułować będą, tak ją osadzi w którym klasztorze i sześciu lokajów pod liberyą X. Kurlandzkiego trzymać będzie i dwóch paziów. Pokazywał także temuż Starosta kalendarzyk jakiś niemiecki drukowany, w którym między innemi Monarchami i Xiążętami, jest położony Xiąże Kurlandzki i Xiężna z Krasińskich, i że



mu już dwóch synów urodziła, jednemu dano imię Karol, drugiemu Franciszek.

Koadjutorą probostwa Sandomirskiego protekcyi skutecznej przypominam. Sam siebie statecznej polecam lasce, zostając na każdym miejscu *tenerissimo affectu et cultu*. K. X. B. Kr.“

W marcu tegoż roku właśnie gdy lat dwa upływały od zaślubienia, starościanka Nowomiejska czując jak ważnem było stanowisko biskupa Krakowskiego, jeśliby ślub jej zachwiano i ważność jego ocenianą być miała, odezwała się wreszcie sama z ojcem swoim do niego, ale zapóźno. Biskup był trochę obrażony, że go się nie radzono, przytem sprzyjał dworowi i spełniał wolę Brühla; odpisał więc tak żeby się niczem nie skompromitować, a tytułu księżnej odmówił.

Oto jest list księżnej z Maleszowa, dnia 13. marca 1762 roku.

„Mocno ubolewam, że nie mogę osobiście upaść do nóg JO. W. X. Mości Dobrodzieja w Jego domu; słabość ojca mego ukrzywdziła mnie w tem szczęściu, który zwłóklszy się z łóżka w intencyi oddać powinność swoją W. X. M. Dobr. w wigilię wyjazdu swego wpadł w recydywę i dotąd tąż słabością jest przyciśniony. Przyjmij W. X. M. Dobr. łaskawie w tych kilku literach oświadczenie prawdziwej submisyi mojej i wyznanie sekretu, który dotąd w skrytości trzymałam; nie z inszych to pochodziło racyj, tylko mając mocny rozkaz od Naj. Królewicza aby był tajony, nie chcąc się sprzeciwić woli Jego, zachowywałam w tym punkcie wielkie milczenie, ale widząc się być oprymowaną i zaczepianą od Dworu, uciekam się do łaski i protekcyi W. X. Mości Dobr.; chciej jako pasterz mój wejrzeć

w sprawiedliwość sprawy mojej, która to pod sąd jego najwięcej należy. Ja z tem się przed W. X. Mością oświadczam, że jako znam się być sprawiedliwie według kondycyj kościoła Świętego Rzymsko-Katolickiego zaślubioną żoną Najjaś. Królewicza, tak protestuje się przed W. X. M. Dobr. jako pasterzem moim. że mając zbawienie duszy i honor mój przed oczyma, na żadne pochlebne, które mi podają ode Dworu, kondycye zezwolić nie chcę i raz przysiężonej wiary Najjaś. Królewiczowi dotrzymać do śmierci pragnę. Że zaś słyszę, że mnie mają pociągnąć do rozwodu, lubo żadnych dotąd terminów nie mam, szukam pasterskiej W. X. M. Dobr. w tem protekcyi, abyś był sprawiedliwy mojej sprawy obrońca, o to zaś suplikuję W. X. M. Dobr. żebyś tej mojej podnufalej do siebie prośby oświadczyć Najjaś. Królewiczowi nie chciał, bo bym przez to mogła się jemn narazić. To moje złożywszy do łaskawego W. W. X. M. D. serca prośby, z powinny wyznaje się być respektem i obserwą.“

Do tego listu swój przyłączył starosta Nowomiejski w tych słowach: — „Z woli Boga słabością zdrowia dotknięty tem więcej boleje, że nie mogę mieć tego szczęścia upaść do nóg W. X. M. Dobr. i teraz słysząc o wyjeździe, listowne chęci mojej czynię oświadczenie.

Intencją moją było dać z siebie W. X. M. exkuze, żeś wiadomego córki mojej ślubu sam nie chciał wyjawiać W. X. M. co teraz czynię, żeś nie mógł się narazić Xcin J. M. o sekret obligującemu, od którego i teraz będąc przez listy obligowany, dotąd tego co wszystkim wiadomo głosić nie mogę. Rozumiem że W. X. M. wiesz o kondycjach nam podanych, abyśmy na tajemny rozwód pozwolili, co ani sumienie, ani ho-

nor czynić nie dopuszcza. Córka moja dla mojej słabości umartwiona, że sama nie może powinnej oddać W. X. M. Dobr. submissyi, co sama listownie oświadcza, którą ja Pasterskiej W. X. M. Dobr. rekomenduję protekcyi, z głębokim wyznając się być respektem i obserwą.“ etc.

Jak oba te listy nie tyle w nadziei pomocy od księcia biskupa, której się nie spodziewano wcale, jak raczej w rodzaju notyfikacji ślubu pisane były, tak też pasterz na nie z ostrożnością odpowiedział, niczem się nie wiążąc, nawet adresem listu do starościanki, której zapisał: „a Mademoiselle la Comtesse de Krasińska, Starościanka Nowomiejska.“ — W liście także poczyną od Mademoiselle! „Jako srodze żałuję słabości zdrowia JW. Pana Starosty, godnego ojca W. Panny, tak równie iż nie miałem satysfakcyi powitania ich w domu moim.

„W okoliczności którą mi WW. Panna wyrażasz (lubo w takowych jako Pasterz najpierwszym jestem Sędzią) żadnej rady dać nie mogę, nie byłbym albowiem sprawiedliwym sędzią, żebym na illacyą jednej tylko strony sądził. Potrzeba więc wysłuchać i drugiej strony, a W. Panna obligujesz przed nią o sekret. O propozycyach które WM. Panna masz ode Dworu, nie mam żadnej ode Dworu komunikacyi; WM. Panna też mnie o nich nie uwiadamiasz, toć i w tem jako niewiedzący rzeczy nie umiem utworzyć zdania mego. Co zaś o szczerem mojem do imienia WM. Panny tak przez należytość jako i dawną znajomość przywiązaniu upewniwszy, zostawam z onymże na zawsze“ i t. d.

Jeszcze krócej, odwołując się do listu powyższego odpisał ks. biskup staroście Nowomiejskiemu i zbył ogólnikami, grzecznością, niczem nie tając swego uspo-

sobienia wcale, nie wiele też zapewne na pomoc jego rachować musiano.

O tej korespondencji przesyłając kopję jej p. marszałkowi nadwor. tak się wyraża biskup Krakowski:

„Z Wawrzęcyc 20 marca 1762. — Unikając na potem złych dróg, wyjechałem z Kielc, ale nie mogę się pochwalić, abym miał dobre, owszem dla wielkich śniegów arcy-złe, przez co mam wielką szkodę w koniach i w rzeczach, bo ustawicznie wywracali.

Wyjechawszy z Kielc, na pierwszym popasie spotkała mię korespondencya, którą *per copias* przyłączam. Możesz ją JWP. Dr. Komecie komunikować, ale zaraz obligować o sekret przed tamtą osobą, gdyż kiedy mię obligują o sekret, toć go dotrzymać należy, tylko że przed WJP. nie mam sekretu (!) w żadnej rzeczy, dla tego i tej korespondencyi powierzam. Komecie zaś, czyli pokazać czyli nie, jak sie WP. Do. zdawać będzie tak uczynisz. Proszę mi *candide* wyrazić, jeśli się podobają moje responsa, gdyż *par politique* nie należało mi się wdawać w rzecz. A zaś jako pasterz, który dla wszystkich, osobiwie w takich materyach, powinien mieć ucho, nie mogłem inaczej odpisać.

Ostatni list JWWP. D. de 13 cur. miałem honor odebrać w drodze, którym że mię nawiadomić raczyłeś o podpisanych za moją instancją Chorąstwie Zatorskiem dla Czarnego i patentów kamerjunkrowskich dla Komorowskiego i Hrabi Tarnowskiego, jak najuniżeńsze wyrażam podziękowanie.

Wracam się do pierwszej materyi. Piszą mi z Warszawy, iż sprawa *de nullitate matrimonii* Xcia Kurlandzkiego ma być zaczęta w Konsystorzu Warszawskim. Bardzobym rad, żeby się bezemnie obeszło i skończyło.

ale cokolwiek w tej mierze w Warszawie robić będą, to *nullitatis*, i Rzym to skasuje i odeszle zawsze tam, gdzie należy, *ad primam instantiam*, to jest do mnie. Co ja, choćby to robili, to się nie sprzeciwię, upewniam *et non agerem de laesione Juris dictionis meae*. Na owe moje z Kiele pisanie, Kometa upewniał JWWP. Dobr., że żadnych kondycyi nie podawano. Na każdym miejscu zostawam dozgonnie prawdziwym sługą, K. X. B. Kr.“

W takich myślach trwał JMX. biskup do kwietnia, nie bardzo jeszcze będąc pewien, w którą się pochylić stronę, gdy ostatnich dni tego miesiąca, książęta Karol i Albert przybyli do Krakowa; oto ciekawe dwa listy, wskazujące, że JMX. biskup, porozumiawszy wolę królewicza, skłonił się wreszcie pójść za nią...

„Z Krakowa, dnia 1 maja 1762 r. Zatrudniony będąc (ale z niezmiernem mojem ukontentowaniem tak dystyngwowanemi i kochanemi gośćmi), nie mam czasu wiele pisać, tylko krótko donoszę, iż Najjaśn. Xciu JM. Kurlandzkiemu tak się tu podobało u mnie, że mu się nie chciało wyjechać, tak dalece, iż stanawszy we środę rano, dopiero wczoraj po rannem śniadaniu o dziesiątej wyjechał, i powiedział mi, że gdyby nie miał tak wielkiej drogi, chcąc powrócić do Warszawy na Fest Królewski, i żeby nie dla ustępowania bratu koni po nim jadącemu, toby jeszcze sam z siebie dłużej bawił. Dwór też jego cały nie może się żalić aby miał niewygodę. Przez dwa dni obiady i wieczery z balem były dla wszystkich generalnie znajdujących się w Krakowie. Przed wyjazdem zaprosił mnie na konferencyę, która z godzinę trwała, i wymówiliśmy sobie wszystko, cośmy do siebie mieli, *et presentement nous sommes*

*des meilleurs amis. Il m'a même confié le secret en question*, o czem na przyszłą pocztę opiszę, bo teraz wcale nie mam czasu. Najjaś. Królewicz Albert dziś stanął po 10tej zrana; straszono mnie, że śpiesznie jedzie i tu nie zabawi, ale jeżeli nie dłużej to przynajmniej przez dziś i jutro zostanie, spodziewam się. Staram się też nsilnie *de leurs rendre le séjour agréable*. Jako widzę, Pan Bóg nawiedza teraz często JW. WPa-na krzyżykami, nad tem równie *compatior*, po których umartwieniach życzę *millena solatio*. Chorąży Koronny, przytomny tej ekspedycji, jak najumiętniej kłania, ja zaś wyznawam się być *tenerrimo affectu et cultu* na zawsze. K. X. B. Kr.

JMPan Gordon, Superintendent, miał rozkaz od JW. Podskarbiego do wzięcia w possessyę przez dworzanina z listem podawczym Łętkowie na JW. WPa-na D. Nie mając na dorędziu dworzanina, prosił mię dziś abym mu dał, i zaraz tejży godziny posłałem czelaka sposobnego. Owszem, jeśliby tu potrzeba JWPanu do dóbr i do wysiadania possessyi szlachty, i dragonii, i piechoty, czekam tylko ponfalego rozkazu; dam zaraz, czego bym dla nikogo nie uczynił."

Druh list Lapij objaśnia konferencją z księciem Kurlandzkim.

„Z Krakowa, 4 Maja 1762 r. Jako przeszłą pocztą doniosłem JWPanu D. o przybyciu Najja. Królewicza Alberta, tak teraz donoszę, iż wczoraj bardzo rano, po wpół do trzeciej, bez spania, prosto z balu wyjechał. Pokazał się być bardzo kontent i wesół; bale były *extremement animées*; pierwszy raz w życiu widziałem, aby mazura *avec la chaîne* tańczowano w szesnaście par. Ale też mam tu salę bardzo obszerną, iż im wcale nie było ciasno.

Obiecałem donieść JW. Panu D. niektóre okoliczności konferencyi mojej z Xięciem Kurlandzkim, co wypełniam w krótkości słów. Wymówiliśmy sobie coś my mieli do siebie, a co pochodziło z plotek Wojewody Lubelskiego. bo mi go wydał. Co zaś o swoim postanowieniu, to mi powiedział, iż Graff Brühl i X. Rauch powiadają mu, że ten ślub nie wart, więc radby wiedział czyli on jest ważny albo nie. Jeśli ważny, *to cóż z tem czynić, trzeba ciecpieć (!)* (a ztąd wnosić trzeba że on podobno niebardzo życzy sobie rozvodu, i że o tem ze mną mówił, iż mu pewnie *tam* kazano) jeśli zaś nieważny, żeby wiedział że jest wolny. Do którego poznania gdy potrzebny skrypt alias Konsens Parochi z mojej Diecezji, co go był dał Bernardynowi dającemu ślub, a rozumiejąc że jest u mnie, prosił mnie o niego. Odpowiedziałem, że tylko kopiję tego skryptu mam, a oryginał jest u starosty Nowomiejskiego, którego mogą dostać czyli dobrym sposobem rekwirując od starosty. czyli pozwawszy go o komportacyą. Ale jak to czynić; chciałem być informowanym w jakich terminach jest ten interes. Odpowiedział mi że nic nie wie, tylko Graf Brühl, który to wszystko wziął na siebie i dopiero z Bilska miał pisać do niego, aby mi to wszystko opisał, i w tej materji ze mną się znosił. Odpowiedziałem mu w generalnych terminach, iż co tylko prawo i sprawiedliwość pozwoli, czynić wszystko będę. Inne rzeczy potem opowiem.

Wedle woli JW. P. Dobr., dzisiejszą pocztą mi wyrażonej, jutro zacząć dzwonić *pro anima Evae JW.* Kanclerzowej Koronnej po wszystkich kościołach po trzy dni. A grafowa Brühlowa, aby była zdrowa całem sercem życzę. zostając na zawsze prawdziwym sługą. X. B. Kr.“

Skutkiem tego widzenia się z królewiczem, był list który biskup krakowski dnia 11. wysłał do starosty Nowomiejskiego, następujący :

„W podróży mojej z Kielc do Wawręczyc na popasie w Morawicy, miałem list od JW. P. de 13. Martij, którym żądałeś mojej pasterskiej pomocy dla godnej swej córki, w postanowieniu onejże.

Teraz w Warszawie agituje się sekretna inwestygacya, jeżeli ten ślub był ważny lub nie; zkąd jestem rekwirowany jako pasterz, ażebym przysłał oryginalny Konsens S. P. X. Dymuńchowskiego plebana Lissowskiego, dany O. Lipiewiczowi, gwardyjanowi Piotrkowickiemu bernardynowi d. 6 Martij 1760 a. *ad benedicendum hocce matrimonium*, którego konsensu gdy tylko mam kopię, oryginał zaś znajduje się u WW. P. Dobr. przeto unikając *publicitatem* w tak delikatnej materji, wstrzymuje krok w przypozwanin WW. Pana do sądów moich *pro comportatione* tegoż oryginalnego Konsensu, lecz *breviori et aequanimiori procedo via. praesentibus* upraszam i obliguję WW. Pana, abyś mi przez tegoż umyślnego przysłać onże raczył. Jeżelibyś zaś WM. Pan (o czem wątpię) nie ufał, to możesz przysłać przez affidowanego swego człeka, któryby mi tylko pokazał, a potem WM. Panu nazad odwiózł. Spodziewam się jednak, iż znając mój charakter, powierzysz mi WM. Pan. A że w sobotę po południu wyjeżdżam ztąd do Lipowca, a ztamtąd do Siewierza, w której podróży bawić będę niedziel dwie, przeto npraszam abyś WM. Pan tego umyślnego we czwartek ekspedyować raczył, aby tu w piątek stanął.

Jako zaś za wolą Bożą i nieograniczoną łaską Najjaś. Króla P. M. M. objąłem rządy tej Diecezji *et non veni*



*solvere legem sed adimplere*, tak możesz WM. Pan być upewnionym, iż jeżeli ta sprawa przyjdzie do sądu mego, nie inaczej decydować będą, tylko według prawa i sprawiedliwości. Jestem z szczerem przywiązaniem i szacunkiem etc“.

Wyprawiając list ten, biskup krakowski napisał zaraz i do marszałka nadwornego w tych słowach:

„Z Krakowa d. 11. Maj 1762. W niebezpieczeństwie zdrowia JW. Graffowej Brühlowej cieszy mnie przedłużenie, *et son temperament* azaliż z łaski Boga, na konsolacyą JW. Państwa i dobrych ich przyjaciół i sług przyjdzie do pierwszego zdrowia.

W ostatnim liście swoim de 8 cur. obligujesz mnie JW. Pan Dobr. imieniem Teścia swego, abym Konsens parochi do dania ślubu *en question*, przysłał *in originali*. Pamiętno JW. Pann Dobr. być musi, iż jako przed nim nie ma żadnego sekretu, tak informacyi którą miałem o tym ślubie komunikowałem mu zaraz bez rezerwy, i żem mu pokazał kopiję konsensu *a parochi*. z dolożeniem iż *propter securitatem matrimonii*, ojciec przy sobie zostawił oryginał. Więc u mnie nie masz, tylko kopja której legalizować atestacyą moją nie mogę, bo mi *de vera seientia non constat*, jeżeli concordat *cum originali*. Ale *placendo* WM. Państwu, posłałem zaraz dzisiaj nuyślnego do J. Pana Starosty Nowomiejskiego nocą i pisałem do niego, aby mi przysłał oryginał; przyszlą pocztą mieć będziesz JW. Pan zupełną informacyę. Zjazd tu coraz większy do Wojewodziny Kaliskiej; przybył i Wojewoda Malborski z żoną, ale wczoraj wyjechali wszyscy dla pilnej kondescencyi do Wielkiej Polski. Wojewoda Bełzki stanął tu, którego wczoraj nawiedzałem, bardzo rzeźwy i cery arcydobrej,

tak jak go dawno niewidziałem, ale Pan Morelli *constanter* mówi, iż nie wyszedł z niebezpieczeństwa i puchlina jest jak była. Nie tylko moja tu bytność ściga ludzi, ale bardziej P. Morellego, który już rachuje przeszło 56 pacjentów, a na kuracyę majową codzień wielu przybywa, dosyć że w tak wielkiem mieście już stancyi do najęcia dostać nie można. Ja też jutro mam zacząć kuracyę i wyjechać 16 *praesentis* jak przeszłą wyraziłem pocztą, w każdym miejscu zostając nieodmiennym sługą. K. X. B. Kr.“

Starosta Nowomiejski nie mógł i nie powinien był dać oryginału konsensu ks. Dymuchowskiego w ręce biskupa, który by był ten ważny dokument przesłał *in originali* Brühlowi przez nadwornego marszałka, odpisał więc wymawiając się dość zrzęcznie i niechcąc okazać nienfności.

„D. 20 Maii 1762.

Naprzód przepraszam W. X. Mość, że chorobą o łóżko przyciśniony, endziej mi przychodzi zażywać ręki na oświadczenie powinnej submisyi i dania z siebie ekuzu w zachodzącej rekwizycyi. Kiedy miałem honor szukać protekcyi W. X. Mości, to w tej samej sprawie że potajemny dwór ofiarował rozwód, i *validitatis* wypróbowanie z wszelkimi lask pańskich deklaracyami, ale widziawszy, żeby honor i sumienie mogły na tem szwankować, tych nie akceptowałem propozycyi. Co i samemu Xciu JM. Knrlandzkiemu teraz na wyjeźdneum za granicę oświadczyłem, którego oświadczenia odmienić nie mogę. Do tego te dokumenta oddałem do depozytu i tylko kilka kopij przy sobie zostawiłem, które *fideliter* są przepisane. Z tych, jeżeli się pokaże ważność ślubu, zapozwany czekać będę pasterskiego

wyroku. Te mego prawa, a bardziej córki mojej obrony, niech mnie nie tłómaczą przeciwnie w laskawem sereu W. X. Mości, którego się protekcyi oddając, jestem z głębokiem uszanowaniem etc.“

List następujący ks. biskupa, acz nie cały się odnosi do tej sprawy, ale cały go maluje; umieszczamy więc nic nie wyrzucając:

„Z Krakowa, 15 Muii 1762. *Par pure précaution* od czterech dni krew puściłem i wczoraj lekarstwo brałem, co mi sprawiło wczoraj alteracją i ciężki ból głowy, dziś zaś bólu głowy nie mam tylko alteracją i mało co do kogo piszę tą pocztą; do JW. P. Dobr. jednak *non intermitto*.

Przyczyniła mi jednak alteracyi znacznej wiadomość o śmierci JW. Graffowej Brühlowej; nie szerzę się nad tą z wielu okoliczności stratą znaczną, życząc *aliunde* JW. Państwu Dobr. z hojnych rąk Boskich konsolacyi. Duszę ś. p. Pani *piis suffragiis* w dyecezyi mojej nie omieszkam polecić, a tu w Krakowie po wszystkich, kościołach jutro dzwonić zacząć.

Miałem list od JW. pierwszego Ministra, ręką JX. Kulagowskiego pisany, donoszący mi o tej śmierci; odpisuję mu tą pocztą. Ale mi w wielkiem podziwieniu, jak miał list mój do JW. pierwszego Ministra na poczte zginąć. To pewna, iż według zwyczaju cudzoziemskiego, nie zdało mi się inkomodować go listem winszującym świąt Wielkanocnych, ale ja odebrałem od niego list, tak zaraz swoją ręką odpisałem, co upewniam *en honneur*. Ale to musi być tak, iż że tylko był komplement, dla tego albo sekretarz tylko przeczytał ten list i nie raportował, albo też sam JW. Graff, przejrzaawszy że komplement, odrzucił i zapomniał.

Więc jeśli się zdawać będzie, suplikuję, abys *data occasione* raczył odpowiedzieć żem odpisał. Nie jestem ja leniwy do odpisywania każdemu, a cóż dopiero temu Panu. Teraz co odpisuję przyłączam kopję.

Rekwizycyi JW. P. D. przesłał pocztą wyrażonej *avec empressement* zadosyć czyniąc, posłałem umyślnego rozsazonemi końmi do Starosty Nowomiejskiego i trzeciego dnia odebrałem respons. Jak tedy listu mego, tak i responsu przyłączam kopję. Nie wiem czyli JW. Pan będziesz aprobował mój list, ale musiałem go postraszyć pozwem i na końcu pogłaskać oświadczeniem administrowania sprawiedliwości w generalnych terminach, aby mi tem prędzej i łatwiej przysłał ten oryginalny konsens do dania ślubu.

Nie mogę zatem przez rzetelność dać ekstrakt legalizowany odemnie tego konsensu oryginalnego, kiedy go nie miał, nie czytał i nie widział, ale to na jedno wynijdzie. Ponieważ Starosta przysłał mi tego konsensu kopję i upewnia listem swoim, że jest zgodzająca się *cum originali*, więc też samą kopję od niego mi przysłał, z wyrażeniem: iż mnie listem swym *de hac data* upewnia, że się zgadza *cum originali*, mogę legalizować. Czekać zatem będę dyspozycyi JW. WPana; jeżeli tej kopii legalizowanie będzie potrzebne, tobym je zaraz przesłał i nie do JW. P. D. ale do JW. pierwszego Ministra *directe*, według insynuacyi, którą odbieram przez JM. K. Kułagowskiego.

Bardzo dobra myśl JW. Pana D. pogodzić się z sukcesorami Leszczyńskich i Szembeków. Obwieszcze mego brata, iż dalej Czarnicy trzymać nie będzie. Krajczy Koronny zdrów oprócz czasem swoich affekcyj, dla których poradzenia się na kuracyę majową ma tu dziś być

*incognito* bardzo i z nikim się nie widzieć, tylko z doktorem żydem w którego dufa. Wojewoda Belski zawsze w jednym stanie, jak przeszłą pocztą doniosłem wyjeżdża na promenadę. Pułkownik Remer dziś albo jutro dokona życia. Mr. Morelli przeszło 50 mapacyentów, oprócz zakonników i innych ludzi ordynaryjnych, którzy po radę do niego przychodzą, *et tous les matins à son lever dans l'antichambre* kilkudziesięć ludzi znajduje. *Il est regardé ici comme un oracle*. Jutro wyjeżdżam do Lipowca, a potem do Siewierza i tylko raz na tydzień będę mógł pisywać. Na każdym miejscu wyznając się prawdziwym sługą. K. X. B. Kr.“

„Po napisaniu tego listu odbieram wiadomość, iż Krajczy Koronny dużo zachorował, i dlatego nie przyjedzie tu do swego doktora.“

Tymczasem, między 15 a 23 maja, właśnie w chwili inwestygacji o ważność ślubu, starosta Nowomiejski, który już oddawna był chory, umarł, i Franciszka Krasieńska została zupełną sierotą; pozostała jej jedna księżna Lubomirska, wojewodzina Lubelska, z prawa i serca opiekunka; tak ona, jak sama Krasieńska, udały się, nie rachując na biskupa Krakowskiego, do Prymasa.

Księżna Kurlandzka napisała do niego list 23 maja 1762, który w zwitku naszym następujący ma tytuł: Kopja listu W. JMP: Franciszki Krasieńskiej, Starościanki Nowomiejskiej starszej (ut asseritur in contextu), zaślubionej JO. Xciu Kurlandzkiemu, do JO. Księcia Prymasa, z Maleszowej d. 23 Maii 1762 pisanego.

„Będąc informowana od wielu osób o dobrotliwych sentymentach JO. W. X. Mei D. dla mnie ośmielałam się fatygować go listem moim, wpraszając się w łaskę Jego. Spodziewam się, że W. X. M. Dobr. będziesz

zdjęty kompassyą nad osierociałym stanem moim przez śmierć ojca mego, który tak zawikłany interes zaślubienia mego z Najjaśn. Królewiczem JM. X. Kurlandzkim zostawił, co rozumiem że jest dobrze wiadomo JO. W. X. M. D. doskonalsze zaś objaśnienie znajdziesz JO. W. X. M. D. w liście mojej ciotki i kopje dokumentów do tego należących. Ja nie chcąc dłużej fatygować listem JO. W. X. M. oddaję mnie i całość honoru mego łasce Jego, abyś powagą swoją chciał zaszczycić, jako tę, która do zgonu życia będzie z powinnym respektem itd.“

List ciotki księżnej Lubomirskiej, pelen zajmujących szczegółów, w całości tu umieszczamy. Zdaje się to być ten sam, o którym wspomina księżna, chociaż daty nie ma żadnej kopija nasza.

— „Przyimij W. X. Mość D. łaskawie tę moją oledzwę z doniesieniem o śmierci brata mego. Znam tyle nieskończonej Jego dobroci, że pozwolisz kompassyi sercu nad sytuacją osobliwie w której córka starsza brata mego zostaje, i nie odmówisz wsparcia łaskawego w tem tylko, co z delikatnością największą zgadzać się może. Pozwolisz mi W. K. M. że w krótkich słowach uczynię mu relacją, teraz dopiero sama uwiadomiona o zawartym ślubie X. JM. Kurlandzkiego z córką starszą brata mego, mam honor przyłączyć kopiję dokumentów służące do wsparcia tego. Niemala to przyczyna była mego umartwienia, od pierwszych początków sprzyjania Xięcia JM. Kurlandzkiego tej osobie, która w mojej na ten czas zostawała opiece; perswadowałam sobie raz powszechną grzecznością tłumacząc, więcej zaś z nieskończonem żmartwieniem jakich złych obawiając się konsekwencyj. Miałam tyle łaskawych przyjaciół,

których teraz wzywam świadectwa, z jaką troskliwością w tej okoliczności postępowałam sobie. JW. JMPan Marszałek Nadworny Koronny nie będzie mógł tego zapomnieć, że z nim wiele razy mówiąc donosiłam tyle, ile mnie samej wiadomem było. Zarzucić mi to kto może, że w początkach znali we mnie te atencye, które rozumiałam być powinna. Byłam tak nieszczęśliwa, że na ten czas rzetelne i proste myśli akomodowania się familii Królewskiej z przyzwoitym respektem, od niektórych były źle explikowane, w czym sam Pan Bóg moim świadkiem. Samemu X. JM. Kurlandzkiemu wiadome były moje sentymenta, często z jego nieukontentowaniem. Inszego nie znajdując sposobu, starałam się odesłać w dom brata mego córkę Jego, w tej perswazyi, że oddalenie (jak być zwykło) w zapomnieniu zostawi ulubioną osobę. Będę ja miała honor sposobnego czasu prezentować W. X. M. D. list, który X. Kurlandzki pisał do mnie, abym nazad powróciła do domu mego córkę brata mego. Znajdę jeszcze kopiję responsu z należytyym respektem i nieco podziwieniem, żeby tak prywatna rzecz miała interesować Najjaśn. Królewicza JMei, gdzie bratanek moja mieszkać będzie. — Komunikowałam te listy JW. JMP. Marszałkowi Nadwornemu Kor., prosiłam aby JMP. Graffowi Brühlowi były pokazane; życzyłam sobie aby moje sentymenta były im wiadome. Na karnawał 1760 r. nie chciałam przyjechać do Warszawy unikając tych intryg, znajdując się wtenczas u JMP. Krakowskiej w Krasiczynie. Pisałam do JWP. Marszałka Nadw. Kor. donosząc mu podobieństwo zamysłów X. JM. Kurlandzkiego, w tej zawsze nadziei, że wielcy i doskonali ludzie znajdą sposób odwrócenia, co być niepowinno. Co z mojej osoby

zdawało mi się, że czyniła moją powinność. Teraz czas wkłada na mnie święty obowiązek, obowiązek nowy, gdy rzecz znajduję już nie w notacyach powątpiewania godnych, ale w rzeczy samej i dokumentach, że córka brata mego jest ślubną żoną X. JM. Kurlandzkiego. Zważ WXM. D. z kompasyą tą nieszczęśliwą sytuację.

Propozycje ode Dworn do sekretne go rozwodu, nad to przykrzejsze jeszcze kondycje, aby panną na zawsze zwaną była. — Jeżeli rozwód potrzebny, to ta osoba z którą się rozwodzą, pierwiej jest żoną, i ta lubo nie była w królewskiej urodzona kondycyi, jednak kiedy ją własna wola do tego obrala, nie jest z jej strony wina. Król JMP. Pan pobożny, laskawy, sprawiedliwy, gdyby był uwiadomiony, pewnieby zalecił z zaślubioną taki trzymać proceder, jaki z wielką delikatnością zgadza się. Supplikuję W. X. M. D., abyś dobrotliwie przyjąć raczył te moje szczerości i rzetelności pełne doniesienie, oraz był skonwinkowany, iż chowaj Boże, żebym z samej tylko pychy te dowody prokurowała. Lecz przy sprawiedliwości, któż jest, któryby chciał fabryfikować honor niewinnej osoby, która dobrą wiarą, według porządku kościoła, w tej się znajduje sytnacyi. Niech to przestanie być sekretem, lecz jawnie i otwarcie ten interes będzie traktowany; npewniam o wszelkiej powolności, która z naszej strony monarchom jest powinna. — Nic mi więcej nie zostaje, tylko polecić siebie z całym imieniem mojem lasce W. X. M. D. z głębokim zostając respektem i t. d.“

Ze śmiercią starosty Nowomiejskiego i objęciem opieki przez wojewodzinę Lubelską, zmienia się zupełnie postać rzeczy; niepotrzebnej tajemnicy nie czynią,



starościanka dla familji i świata zostaje jawnie księżną Kurlandzką, dwór niejako wyzwany do boju, w przykrem jest położeniu, gdyż czuje że oburzyłby na siebie całą szlachtę, gdyby działał przeciw ślubowi, a traktować nie może, bo traktowania nie przyjmuje familja; wlecze się więc ta sprawa, puszczona trochę na łaskę losu.

Dnia 28. maja pisze ksiądz biskup Krakowski do marszałka nadwornego:

„Żadaną odemnie kopiję konsensu, na wiadomy ślub legalizowaną, według woli JW. P. Do. przyłączono w liście JW. Teścia Jego.

Dochodzi mnie tu wiadomość, iż ś. p. Starosta Nowomiejski miał podać do Grodu Nowomiejskiego *per oblatam* intercyzę córki swojej, w Grodzie Warszawskim roborowaną. Zaczem posyłam umyślnego do Grodu Nowomiejskiego, i jeżeli jest, aby mi ją *per extractum* przysłało. Jeżeli przyślą, czyli JW. Panu posłać kopiję, czekam rezolucyi, gdyż może iż ją masz już. Wracam do kopii legalizowanej, iż ją daję *sub antidata*, aby jeszcze za życia Starosty Nowomiejskiego etc...” Dal-szy ciąg tego listu, obojętny dla nas, donosi o prze-jeździe Arandy, posła hiszpańskiego, przez Kraków, o wjeździe do Siewierza uroczystym d. 24. (zjazd i pismo datowane) i mówi niżej: — „Napisawszy to, odbieram umyślnego z listami od Xżnej Wojewodzinej Lubelskiej i od Starościanki Nowomiejskiej, z różnemi kopijami której całej korespondencji *per copias* komunikuję JW, P. D. *quam fidelissime*. *In scorsivo folio* wyrażam wszystkie moje finalne reflexije. Proszę, abym albo przez najpierwszą pocztę, albo, jeżeli czas nie wystarczy na nią, przez sztafetę ułanów, miał rezolucję, albo-

wiem na te listy nie odpisałem i nie odpiszę, póki od JW. Pana nie odbiorę responsu, a jednak nie należałoby mi długo z responsem wstrzymywać Xiężnę Wojewodzinę.“

Dalej znów obce rzeczy, jako o wakansie na kasztelanję Kijowską, z powodu której widać, że rozporządzono jak chciano wakansami między marszałkiem a biskupem. Kandydatami byli: Czarnecki, kasztelan Bracławski, który się biskupowi nie zdawał, i stolnik Podolski, za którym się oświadczał, chociaż jak powiedział, straszny był skąpiec.

Smutno jest czytać te listy tak dworowi oddanego biskupa, który dla akomodowania się Brühlowi, wszystko aż do obowiązków swych zapominał, i kroku, wedle przekonania, stąpić nie śmiał bez pozwolenia marszałka nadwornego lub jego teścia.

Następne pismo z 1 Junii, choć znów niewiele zawiera, dla obrazu człowieka całe tu włączamy.

„Z Promnika pod Krakowem 1 Junii 1762.

Com tylko tu stanął, nadgłaszam się zaraz JW. WP. D. z zwykłą na każdym miejscu submissją. Nad śmiercią Hetmana srodze ubolewam; Król stracił wiernego i przywiązanego sobie sługę, a my dobrego przyjaciela. Wakanse po nim znaczne (!!!). Radziłbym, aby te do przyszłego sejmu zatrzymane były *in suspensa*, nawet i Kasztelanija Kijowska i inne, jeżeli się zdarzą. Gdyż jako *nam* dojście sejmu ze wszech miar jest potrzebne, tak i to mogłoby *in parte* pomódz. Po Xciu Hetmanie piszą mi, że dwa Starostwa mają wakować, Parczewskie w Lubelskiem i Kamienieckie w Brzesko-Lit. Parczewskie jedni mi piszą, że dla JW. Pana D. ma być destynowane, drudzy, że dla Podskarbiego N. K., aby

odstąpił kontraktu sobie danego na cła królewskie. A Kamienieckie Wielohorskiemu. O Kamienieckie *non ambio*, ale o Parczewskie, jeśliby nie miało *cedere*, JW. Panu, bo nad wszystkich jesteś najzasłuszniejszy (!) i nieprzyjaciół nie może przeciw temu nic mówić, suplikuję dla brata mego, Wojewody Łęczyckiego. Wszakże z najpierwszych Starostw mam dla niego deklarację od Najjaśn. Pana, JW. P. D. i Teścia Jego, do którego także piszę o to dzisiaj pocztą.

Łowiectwo N. L. po Słukowskim deklarowane, czyli już oddane dla Graffa Brühla Karola. Jeżeli nie oddane, życzyłbym, aby poczekał na koronny urząd, żeby nie dać satysfakcyi Xięcin Kanclerzowi Lit., który nie będzie chciał pieczętować *tanquam non possessionato*, tudzież może o to napędzać instrukcyę na przyszły sejm.

JW. Podskarbiemu W. K. winszuję kontrahencyi na żupy solne; przy lepszym gospodarstwie jak dotąd było. *il pourra s'enrichir*.

Wojewodzina Inflandzka, wdowa, coraz to niebezpieczniej słabsza, a jako moja dobra przyjaciółka, bardzo pragnęła widzieć mnie i odebrać odemnie *absolutionem generalem*, tak nmyślnie do niej dziś jeździłem.

Chorąży Koronny dosyć zdrów; jak prędko stanąłem tak zaraz przyjechał do mnie na obiad, a Wojewoda Sandomierski po obiedzie. Chorąży Kor. kłania się najniższej, prosił mnie o to. Jutro przeprowadza się tu do mnie z Krakowa, i już jest wcale do mnie przywiązany.

W okliczności sprawy rozwodowej, com przesłał pocztą pisał, czekam rezolucyi; Kanclerz Koronny słysząc komunikował korespondencyi swojej co miał w téj materii Teściowi JW. Pana. Do Maleszowej zaś odpisał, i dał tytnł Xiężnej Kurlandzkiej,

Ja czekam rezolucyi *quid me vultis facere?* (!) A teraz siebie i brata mego, Wojewodę Łeczyckiego, statecznej oddaję łasce, jako... etc.“

Widać, że wojewodzina Lubelska listem i kopijami dokumentów obesłała wszystkich dygnitarzy, i krok ten stanowczy w wielkiej stawil niepewności adherentów dworu; kanclerz koronny dal tytuł, inni, jak ks. biskup i listu obawiali się sami *proprio motu* napisać, nie chcąc skompromitować, zwłaszcza w czasie tak smacznych wakansów po hetmanie!

Czytajmy dalej, choć niemiło to czytać.

— „Z Promuika, 8 Junii 1762.

Odbieram dzisiejszą pocztą obszerniejszy list JW. WPana Dobr. a w nim rezolucyę w okoliczności rozwodu. W tej postąpię sobie tak, jak mi JW. P. *prescribis. Expediens* bardzo dobrze czekać powrotu Naj. X. Kurlandzkiego. Ja w żadnych moich korespondencyach z Xiężną Wojewodziną Lubelską w tę materię się nie wdaję i wdawać nie będę. Jeżeli jednak będę miał z nią *une entree*, natenczas będę wszystko reprezentował i perswadował *ut abstineant* od używania tytułu Xżnej Kurlandzkiej. Ale wątpię, abym ją od tego odwiódł, kiedy już niektóre tranzakcyje *ad acta publica* podala, jakom przesłał pocztą JW. P. komunikował. Ślub mają za ślub; nie tylko rozvodu, ale nawet pozwu do niego nie mają. Wszyscy ją tytułują Xżną Kurlandzką; nawet i Kanclerz Koronny w responsie swoim dał jej tenże tytuł.

O mieszkanie do klasztoru po pierwszej rekwizycyi, nie miałem dotąd innej. Na pierwszą oświadczyłem się iż dam, teraz rekwiirowany jeżeli będę, nie tylko że dam, ale i perswadować będę. Przymuszać zaś koniecznie, aby

do klasztoru poszła, nie mogę. Co się w tej mierze stanie, donieść punktualnie nieomieszkam.“ — Tyle o naszej sprawie, reszta o innych mnogich kouszachtach, z powodu wakansów, tytułów i t. p.

List jeszcze jeden księdza Prymasa Lubieńskiego z Łowicza dnia 8. czerwca 1762, zakończy ten szereg dokumentów; wyciągiem z niego zamknijemy opowiadanie nasze. Pisany był do marszałka nadwornego kor. „Nie mam zwyczaju tać, co tylko może obchodzić JW. WP. Przeto komunikuję mu kopiję listu, który pisze do mnie X. JMość Lubomirska, Wojewodzina Lubelska. Odpisałem nań rzetelnie, że w podobne interesa mieszać się nie mogę, ile że ta rzecz zdaje się być tajemnicą u trouu. Drugą kopiję także przyłączam, ale na ten list nie zdało mi się odpisać z wielu przyczyn“, itd.

Tak tedy uciśnionym nikt ręki pomocnej wyciągnąć nie chciał; obawiali się narazić wszyscy; szczęściem, dwór nie miał także odwagi zmuszać do rozwodu. Bawiła jakiś czas Krasińska u Barbary Swidzińskiej, siostry swojej, potem przebywała w klasztorach Sakramentek w Warszawie. u Franciszkanek w Krakowie, w Częstochowie i Opolu. Królewicz, który ani ją całkiem opuścić, ani jak przystało, za żonę przyjąć nie chciał, zwracał się ku niej niekiedy. Tymczasem zmarł król August III. w 1763 r. Królewicz zamieszkał w Dreźnie i o Krasińskiej jakby zapomniał. Lubomirski musiał przez cesarżowę Marią Teresę, jak pisze p. Wojcicki, kołatać do ks. Kurlandzkiego, który wezwał żonę do Dreżna. Tu elektor i familja jego nie dozwoliły, by tytułu używała i *incognito* całego życia zastrzegł. W takim to stanie wątpliwym mieszkała królewiczowa w Eisterwert, Dreźnie lub Landskronie. W kilkanaście

lat dopiero po zamażpójściu powiła mężowi córkę, która poszła później za ks. Karola de Savoie-Carignan.

Po resztę szczegółów jej życia odsyłamy czytelnika do *Życiorysów* p. Wojcieckiego. Zmarła d. 30 kwietnia 1796 r., w Dreźnie; Sejm 1776 r. uznał ją żoną królewicza i upewnił jej dożywocie.

K O N I E C.



# SPIS DZIEŁ

wydanych

## w Bibliotece powieści i romansów WE LWOWIE

od października r. 1870, aż do dnia dzisiejszego.

1. **Tajemnice klasztoru neapolitańskiego.** z włoskiego.
2. **Hrabia de Camors,** przez Feuilleta, z francuskiego.
3. **Klemencja.** powieść hiszpańska, przez Fernana Caballero.
4. i 5. **Klub Pickwicka,** przez Dickensa, z angielskiego.
6. i 7. **Być albo nie być.** powieść szwedzka, przez Z. M. Schwartz.
8. i 9. **Gdzie winowajca?** powieść tłum. z francus. E. Gaboriau.
10. i 11. **Pieniądz i imię,** powieść szwedzka, przez Z. M. Schwartz.
12. **Poświęcenie kobiety,** powieść Eugeniusza Berthoud, z francus.
- 13., 14. i 15. **Niccolo de Lapi,** powieść historyczna, z włoskiego, przez M. d'Azeglio.
16. **Pomniejsze powieści** M. W. Hohola, z rosyjskiego.
17. i 18. **Opactwo Carrow.** przez J. F. Smith, z angielskiego.
19. **Dygnitarze.** romans meksykański, przez P. de los Rios.
20. **Piękna Pani,** powieść oryginalna J. I. Kraszewskiego.
21. **O Zmroku,** przez Wilkie Collins'a, z angielskiego.
22. **Synowie Barona,** czyli Anioł z ulicy Westerlang, powieść szwedzka, przez Kiellmana Goeranssona.
23. **Na Cmentarzu — na Wulkanie,** powieść współczesna, przez J. I. Kraszewskiego.
24. **Zona męża próżnego,** ze szwedzkiego, przez Z. M. Schwartz.
25. i 26. **Akta kryminalne I. 113.** przez Gaboriau, z francuskiego.
27. **Rina,** romans włoski, przez Wiktora Bersezio.
- 28., 29. i 30. **Pan Graba,** powieść przez E. Orzeszko.
31. i 32. **Wina i Cnota,** przez Z. M. Schwartz, ze szwedzkiego.
33. **Przeznaczenie.** powieść napisana według oryginału francuskiego w 2 częściach, przez Ludwika Enault.
34. i 35. **Wojewodzie,** powieść oryginalna, przez Gryzonja.
36. i 37. **Czarny Matwij,** powieść z życia ludu górskiego, przez Walerego Łozińskiego.
38. i 39. **Kto chce kochać, cierpieć musi.** przez Karola Reade, z ang.
40. **Powieści K. P.**
41. i 42. **Zmierchły i Śwłty,** powieść współczesna, przez Teofila Szumskiego.
- 43., 44., 45. i 46. **Boleść i Radość,** powieść współczesna z angielskiego, przez J. F. Smith.
47. **Na dwóch krańcach,** powieść oryginalna, przez P. Wilkońską.
48. i 49. **Skazaniec.** romans z angielskiego, p. Charles Reade i Don Bouicault, 2 tomy w jednym.
50. **Panna czy Pani?** powieść przez Wilkie Collins'a z angielskiego.
51. i 52. **Czarna ręka,** romans historyczny, ze szwedzkiego przez C. F. Ridderstadta, 2 tomy.
53. **Pamiętniki Daniela,** powieść współczesna napisał Józef Treliak.
54. i 55. **Angiola Maria,** powieść włoska, przez Carcano, dwa t. w jednym.
56. **Namiętności,** powieść ze szwedz., napisana przez Z. M. Schwartz.



## Z zupełnego wydania

POWIEŚCI J. J. KRASZEWSKIEGO

wyszło dotychczas tomów:

- Dwa Światy. 1, 2, 3, 4.  
Chata za wsią. 5, 6, 7.  
Poeta i Świat. 8, 9.  
Pod włoskiem niebem. 10  
Stary sługa. 11, 12.  
Dziwadła. 13, 14.  
Ostrożnie z ogniem. 15.  
Latarnia Czarnoksiężka. 16, 17, 18, 19.  
Historja o bladej dziewczynie. 20.  
Ładowa Pieczara. 21.  
Pamiętniki nieznajomego 22, 23.  
Powieść bez tytułu. 24, 25, 26, 27.  
Czercza Mogiła. 28.  
Miljon Posagu. 29, 30.  
Ostatni z Siekierzyńskich. 31.  
Latarnia Czarnoksiężka. Serja II.; 32, 33, 34 i 35.  
Djabek. 36, 37, 38 i 39.  
Jermoła. 40.  
Zygmuntowskie czasy. 41, 42, 43 i 44.  
Tomko Prawdzic. 45.  
Złote Jabłko. 46, 47, 48 i 49.  
Żacy krakowscy w roku 1549. 50.  
Komedjanci. 51, 52, 53 i 54.  
Podróż do miasteczka. 55.

Pod prasą:

Budnik. 56.

---









**Biblioteka Raczyńskich**

**JK 1483**



**JK1483**